MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 29. WARSZAWA, 14 CZERWCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

SILNIE DUCHOWE

SIŁA główna Obozu Wielkiej Polski polega na tem, że przed powstaniem swojem istniał pod postacią samorzutnego prądu narodowego, szerokim nurtem wśród powojennej młodzieży polskiej płynącego. Ku zgorszeniu socjalistycznych talmudystów i żydów, pilnie naokół węszących, wbrew wszelkim przesłankom politycznym, opartym na długoletniej i wytężonej propagandzie ze strony międzynarodówki, a nadomiar — daleko wszerz poza wpływami obozu narodowego, nagle, przez nikogo nie oczekiwane, pojawiły się po wojnie liczne zastępy młodzieży o ideologji świadomie narodowej. I nie był to wybuch jednorazowy. Od tego czasu do dziś dnia ruch ten stale potężnieje i przybiera znamiona żywiołu, któremu właśnie O. W. P. dał określone łożysko.

W dziwnem zjawisku tem tkwi rządzące narodami prawo biologiczne — prawo samolecznictwa i samoodrodzenia. Drzewo, kaleczone przez obcinanie korzeni i gałęzi, ratuje się tem, że wypuszcza nowe korzenie i nowe gałęzie. Naród polski w ciągu niewoli kaleczony zbrodniczo przez rządy zaborcze, a potem przez żydów i socjalistów, teraz w oczach naszych, bo pośpiesznie, odradza się sam sposobem najpewniejszym i jedynym: przysparza sobie swoich ludzi, dużo swoim duchem i swojem sercem ożywionych ludzi. Że to się dzieje wśród młodzieży — to naturalne. Korzenie i gałęzie od kiełków rosną... Cudu tego ani w drzewie ani w narodzie nauka wytłumaczyć nie umie. Wiemy tylko, że tak się dzieje, a tyle chyba jeszcze dodać można, że warunkiem tego zjawiska jest młodość i zdrowie całego organizmu.

Tak tedy nie teorje, nie programy, nie agitacje, ale najgłębsza, samoczynna wola narodu polskiego, nowymi ludźmi nowych pokoleń znaczona, objawia się w rozległym ruchu narodowym młodzieży. O. W. P., jako organizacyjny wyraz tego ruchu, posiada zatem nie polityczny ani społeczny, ale rodowód biologiczny, czyli — narodowy. W tem leży jego potęga, której napróżno przeciwstawiają się i urągają partje i mafje czerwonej i czarnej międzynarodówki. Z tego również, jako z założenia, wynika charakter Obozu i jego naturalny, najdalszy cel t. j. stworzenie ze swoich zastępów przyszłej oligarchji narodowej. W równej przeto mierze i rodowód i charakter i cel O. W. P. dają mu wspólną podstawę działania i wspólne wiązadła rozwoju, a są niemi silnie duchowe — moralne i umysłowe. Stąd też pierwsze, w dniu powstania powzięte, oświadczenie Obozu (t. zw. deklaracja) główny naciska kładzie na zasady moralne.

Wykładnikiem i nosicielem pewnych, ogólnie określonych silni duchowych jest pewien, ogólnie określony typ człowieka, w danym tu zakresie — obywatela. Siłą rzeczy z tego jednego typu obywatelskiego muszą się składać ludzie Obozu. Typ ten jest przeciwieństwem typu, teraz miłościwie nam panującego. Dlatego zmaganie się w Polsce odłamu narodowego z międzynarodowym rozgrywa się nietylko w płaszczyznie politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej, ale sięga do najgłębszych pokładów charakteru i moralności człowieka, które już spoczywają bezpośrednio na opoce tej lub innej rasy psychologicznej. W tem przeto zmaganiu się tkwią wszystkie supły węzła, który zawiązał się równie w zagadnieniu koniecznej przebudowy społeczno-gospodarczej i państwowej, jako też w nadchodzącym przełomie całej cywilizacji nowożytnej. Albowiem cywilizacja — to nic innego, jeno panowanie tego lub innego, ale zawsze — twórczego typu człowieka.

Jak są dwa bieguny magnetyczne, tak samo istnieją dwa (w najogólniejsym podziale) typy ludzkie: dodatni i ujemny, które bliżej charakteryzują się jako — twórczy i niszczycielski, albo — hierarchiczny i anarchiczny, albo też — organizacyjny i mechaniczny, albo jeszcze — etyczny i chaotyczny. Cywilizację, każdą mianowicie odmianę cywilizacji dźwiga Etos, czyli twórczość, hierachja i ład organiczny. Zaś burzy ją Chaos, czyli rozstrój, anarchja i rozpad mechaniczny. W prawie tem socjologja zbiega się z chemją w jej ostatecznych wywodach kosmologicznych. W narodach, a przez nie i w społeczeństwach ludzkich istnieją obie te siły i oba typy ludzkie. Co więcej — obie siły

istnieją w każdym człowieku zosobna, chociaż w różnych ilościach, a przy odpowiednich warunkach zewnętrznych można z wielu ludzi wyzwalać dowolnie tę lub tamtą siłę — dośrodkową lub odśrodkową. Po tej linji, jak widzimy, przebiega oś obrotu dziejów, do niej stosują się największe i najmniejsze zjawiska społeczne. Panowanie tego lub tamtego typu ludzkiego w narodzie, wyzwolenie tej lub tamtej siły — rozstrzyga o wszystkiem.

Mnóstwo warunków życia współczesnego, ale przeważnie zewnętrznych, złożyło się na to, że do głosu obecnie, a nawet do władzy dochodzi człowiek Chaosu, typ anarchiczny. Główną pośród tych warunków zewnętrznych rolę należy przyznać gwałtownemu rozrostowi techniki, przemysłu fabrycznego i miast. Bezpośrednim tego skutkiem jest nagłe pojawienie się nowej i zgruntu dzikiej warstwy panującej — plutokracji, oraz nagłe pojawienie się nowej i równie dzikiej warstwy pracującej — proletarjatu, — obu warstw jednako ciemnych, grubych, egotycznych. Obie stanęły przeciw sobie jako źli i zaciekli wrogowie i wodzą się za łby, rozbijając i niszcząc dokoła wszystko, co ich nogom, pięściom i brzuchom przeszkadza. Ideowym i programowym wyrazem plutokracji jest masonerja, a proletarjatu — socjalizm. Pneumą zaś czyli duchem obu zarówno — jest żydostwo, które i tu, jak w każdej bójce karczemnej, szynkwasuje, rozpaja, podjudza i nikczemne a obfite zyski pobiera.

Z powodu niebywałego w dziejach, szybkiego wzmożenia się środków łączności — od telegrafu do samolotów i radja, a także z powodu ogromnego wzrostu ludności przemysł fabryczny ze swojemi dwiema warstwami — plutokracją i proletarjatem — znacznie zmienił stosunki sił społecznych, a uczynił to w tempie tak gwałtownym, że Etos narodów, tą zmianą nawiedzonych, nie zdążył odpowiednio przetworzyć ustroju społecznego i państwowego. Tym sposobem nowe siły i nowy układ sił społecznych znalazły się w starych formach ustrojowych, całkiem do nowego życia niedostosowanych. Powstało zatem idealne podłoże do rozpętania wszystkich furyj chciwości, wyzysku, upośledzeń i nędzy, a stąd — nienawiści, zemsty i zaślepienia. Na tem zaś podłożu z obu rozjuszonych stron pojawiły się dwie teorje „nowego ładu" społecznego i — o dziwo! — obie bliźniaczo podobne, do jednego celu zmierzające. Dyktatura proletarjatu i dyktatura masonerji, jak to już teraz doświadczalnie wiemy, są jednym i tym samym kijem, tylko z obu końców różnie nazwanym. Tajemnica tożsamości leży w tem, że i tu i tam jeden typ ludzki zapanował — chaotyczny typ ciemnego materjalisty.

Zamęt, który obaj zapaśnicy dokoła siebie szerzą, wstrząsa podstawami gospodarstwa kraju, społeczeństwa i państwa, a z tego powodu wysuwa się na czoło najpilniejszych zagadnień życia gromadnego. Że zaś obaj zapaśnicy w ideologji i agitacji posługują się żydowską metodą oszustwa, reklamy i hałasu, przeto w wir swojej walki z łatwością wciągnęli wszystkie żywioły ciemne i anarchiczne, oraz szalbiercze i cyniczne, a w szczególności surową, powojenną półinteligencję, która znajduje tu gotowe a efektowne formułki „nowego" światopoglądu. Propaganda socjalizmu i masonerji nie poprzestaje, oczywiście, na zagadnieniach ściśle społeczno-ustrojowych, ale z rozmachem objęła całość życia — religję, moralność, rodzinę, naukę, sztukę, szkolnictwo, prawo i t. d., a wszędzie gromadzi dokoła siebie typy Chaosu i wyzwala siły anarchji. Na tem i jedynie na tem zjawisku wspiera się owa pochylnia dziejów, po której cała cywilizacja ludzka ma się stoczyć w bajoro bolszewizmu.

Społeczeństwo polskie po długiej i ciężkiej niewoli narodowej wpadło teraz bezradnie w sieci międzynarodówki, czyli w łapy ujemnego typu ludzkiego. Typ dodatni istniał, istnieje, ale słaby i rozproszony. Nie było i niema jeszcze silnej i zwartej oligarchji narodowej, któraby mogła ukrócić uroszczenia stanów i klas, zwalczyć wrogów narodu, przetworzyć ustrój gospodarczy, społeczny i państwowy, zapewnić społeczeństwu spokój, pracę i możność budowania wyższej kultury. Oligarchja ta poczyna się dopiero w Obozie Wielkiej Polski. Z natury rzeczy wynika, że Obóz musi składać się wyłącznie z obywateli typu dodatniego. Praca, którą podjąć ma nadchodząca oligarchja, jest tak rozległa, odpowiedzialna i trudna, przez tylu wrogów i tyle wrogich sił osaczona, że tylko ludzie o silnym charakterze, wyrobionym spokoju, jasnym umyśle dokonać jej mogą. Ale dobór typu jest zaledwie wstępem do pracy. Bezpośrednio dalszym jego ciągiem musi być wyzwalanie z siebie i ze społeczeństwa, oraz metodyczne kształcenie tych silni duchowych, bez których niema zwycięstwa. Rzecz to prosta: naprzód musi być twórca, aby powstał twór. W tem to znaczeniu powiedział Mickiewicz: „Dziś potrzeba prawicy, a jutro trzeba praw!"

W podstawie zatem wszelkich prac organizacyjnych owej, dziś jeszcze nielicznej i młodej, przyszłej oligarchji narodowej leży kształcenie charakterów i umysłów obywatelskich, co może być uskutecznione tylko na drodze praktycznej pod postacią natychmiastowego rozpoczęcia bieżącej roboty społecznej i kulturalnej we wszystkich zawodach i ośrodkach życia gromadnego. Taką szkołę przebywa młodzież szkół wyższych w swoich organizacjach akademickich. Ale ta młodzież stanowi tylko cząstkę O. W. P., reszta przeto musi swoją szkołę zacząć bezpośrednio na terenie społeczeństwa całego. Pod grozą zawiśnięcia w próżni ideologicznej, Obóz już dziś ma stać się, w minjaturze, istotną i wszędzie czynną oligarchją społeczeństwa. Czynną nie w znaczeniu wyłącznie propagandy swoich poglądów ogólnych — to jest tylko mały odcinek pracy, — ale w znaczeniu wpływu, organizowania i nastawiania bieżącego życia praktycznego we wszystkich jego poruszeniach i szczegółach. Ideologja i kierownictwo ogólne jest rzeczą władz Obozu, albo jego wydziałów, pracy myślowej zawodowo poświęconych. Najszersze zaś jego rzesze mają pracować w praktycznych życia warsztatach według tempa zdarzeń, jakie dzień przynosi.

Do tego zasadniczego wymagania pedagogicznego powinna zastosować się cała organizacja kadrów nowej oligarchji. Tylko tym sposobem zwiąże się ona ze społeczeństwem węzłami nierozerwalnemi i tylko tym sposobem wyszkoli się do pełnego życia obywatelskiego. A w naszych warunkach obecnych można być pewnym, że ani życie ani spółka socjal-masońska nie oszczędzi młodym pracownikom Obozu szkoły twardej, najtrwardszej. Będzie to prawdziwie cyklopowa kuźnia charakterów i umysłów przyszłego Etosu narodowego, który nietylko naród polski ocali, ale i, podczas, na przednich szańcach kultury stanie, aby dla nowej cywilizacji nowe ognie ideałów zapalić. Albowiem nigdy z Chaosu, lecz tylko z Etosu twórczy Patos powstaje.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZAGŁADA BABILONU

W NOWOJORSKIM „*The World*” podana była następująca wiadomość: „Dr. Jesse H. Holmes, profesor filozofji ze Swarthmore, przemawiając, jako reprezentant kwakrów w dyskusji religijnej w uniwersytecie Columbia, domagał się skreślenia pasterskiej definicji Boga, zawartej w wersecie psalmisty: „Pan jest moim pasterzem”, jako pozbawionej dziś znaczenia, gdyż po nowoczesnych mieszkańcach miast nie można się spodziewać, żeby wiedzieli cośkolwiek o owcach. Na to miejsce, mówił, należy wstawić koncepcje mniej przestarzałe i bardziej osobiste, a zawierające jednak idee opieki i pomocy, wyrażonej przez lud pasterski przed trzydziestu wiekami w pojęciu „pasterza”. Proponował wersety, które wyrażałyby tę samą wiarę i cześć, co i dawne, np.: „Pan jest małą przekładnią mego samochodu, pomagającą mi wspinać się na strome wzgórza”, lub

„Pan jest środkiem antyseptycznym w czasie srogiej zarazy”, albo

„Pan jest dynamomaszyną do odnowienia moich wyczerpanych bateryj” lub wreszcie:

„Pan jest światłem słonecznem w moim pokoju, przynoszącem mi zdrowie promieni ultrafjołkowych”...

*

Postawiłem tę gwiazdkę, bo każdy przyzna, że po przeczytaniu tego kwiatka należy się jednak nieco zastanowić. Nie mam całego sprawozdania z tego sympozjonu na nowojorskim uniwersytecie „Columbia”, nie wiem więc, czy słuchacze zauważyli, że ten kwakierski profesor filozofji, mówiący z przekąsem o pasterskim ludzie z przed trzydziestu wieków, wpadł sam w bardzo prymitywny fetyszyzm: dawny psalmista porównuje Boga z pasterzem, a więc istotą górującą duchem nad stadem, nowoczesny zaś amerykanin chce porównać Go z bezdusznem dziełem rąk ludzkich, oddawać tym dziełom cześć i czuć dla nich wdzięczność za opiekę i pomoc. A przecież czerwonoskórzy uznawali już, jak nas uczono, jakiegoś Wielkiego Ducha i nie oddawali czci tomahawkom, czy łukom. Ale nie o to mi chodzi.

Przytoczyłem groteskowe przemówienie J. H. Holmesa nie w celu dysputy teologicznej, lecz jako jaskrawą ilustrację faktu zatracenia przez ludność wielkomiejską związku z przyrodą, tak że nawet psalmy w dawnej formie stają się dla niej niezrozumiałe. Czy pójdziemy dalej w tym kierunku, czy wielkie miasta będą wciąż rosły i rosły? Pozornie zdawałoby się, że nic im na przeszkodzie nie stanie, wielu pomysłowych inżynierów, architektów wysila umysły nad wynalezieniem sposobu umożliwienia skupionego bytowania jeszcze większych niż dotychczas mas ludzkich, czyta się o fantastycznych wprost pomysłach przebudowy dzisiejszych stolic, a jednak są to, zdaje się, rzeczy skazane na niepowodzenie; zjawia się bowiem przeświadczenie, oparte na cyfrach, że wielkie miasta są... nieekonomiczne. Takie orzeczenie w naszych czasach równa się wyrokowi śmierci.

Przedewszystkiem statystyka stwierdza, że wielkie miasta właściwie wymierają i pozostawione samym sobie wyludniłyby się bardzo szybko. Żyją i rosną tylko dzięki napływowi ludności ze wsi lub, jak w Ameryce, z obcych krajów. Są więc niejako pompami ssącemi energję życiową z całego kraju i niszczącemi ją. Dopóki przyrost naturalny ludności w większości krajów był wysoki, nie zwracało to uwagi i nie wywoływało zastrzeżeń; dzisiaj jest już inaczej i ekonomja pod tym względem wysuwa się jako ważne wskazanie. Ścisk, wrzawa, pośpiech i brak wytchnienia w życiu wielkomiejskiem wpływa oczywiście bardzo niekorzystnie nie tylko na duchowy rozwój człowieka, ale, jak się okazuje, i fizycznie rasa ludzka na dłuższą metę tego trybu życia nie wytrzymuje. Wzgląd na to nie odgrywał roli w pierwszych, entuzjastycznych dziesiątkach lat ery industrjalnej, kiedy jeszcze bez skrupułów jako coś zupełnie naturalnego, dopuszczano nawet pracę dzieci po fabrykach. Słaba byłaby także i dziś nadzieja na to, że te względy zdołają zaważyć na szali, bo przecież jeszcze „interes produkcji” w dalszym ciągu dominuje, na szczęście ów interes produkcji zaczyna stawać się sprzymierzeńcem ludzkiego sposobu myślenia.

Wielkie miasta stają się jako centra produkcji nieracjonalne. Badacz amerykański Warren S. Thompson w studjum p. t. „Przyszłość wielkiego miasta” wypowiada zdanie, że wielkie miasta amerykańskie, jako ośrodki produkcji, trzymają się już właściwie tylko tem, że ściągają do siebie pierwszorzędny, lepszy, niż nim rozporządza prowincja, materjał ludzki, zarówno kierujący, organizujący, jak i wykonywający. Pozatem wszystkie inne warunki pracy są gorsze, niż na prowincji. Do tych warunków należą kolosalne koszty placów i lokali, zarówno fabrycznych, jak i mieszkalnych, a co za tem idzie konieczność wyższych płac personelu. Gorsza wydajność pracy ludzi, nie mogących należycie w ciszy i spokoju wypocząć. Pracownik traci na dostanie się do biura, czy warsztatu nietylko bardzo wiele czasu i pieniędzy, lecz zużywa przytem bardzo wiele energji, której już mu potem przy wykonywaniu pożytecznej pracy brakuje. Znawcy utrzymują, że najbardziej wyczerpującą częścią dnia roboczego jest w Nowym Jorku dostanie się do biura w ścisku kolejek podmiejskich i miejskich. Drapacze chmur są bardzo efektowne na zewnątrz, ale są też nietylko bardzo kosztowne, jako budowle, lecz również zużywają olbrzymie ilości energji elektrycznej do przenoszenia personelu i interesantów w górę i na dół, a co do paradoksów ulepszonego transportu w wielkiem mieście, to wspomniany autor podaje własne doświadczenia z portu nowojorskiego: szedł umyślnie z portu za ogromnym samochodem ciężarowym, wyładowanym towarem i obsługiwanym przez dwóch ludzi; rezultat był taki, że idąc wolnym krokiem i zatrzymując się nawet czasami na pogawędkę ze spotkanymi znajomymi, nie stracił owego samochodu z oczu w ciągu dwóch godzin — z taką zaledwie szybkością mógł się posuwać w zatłoczonych ulicach. Jak się przedstawia w tych warunkach racjonalność transportu, łatwo wywnioskować.

W. S. Thompson uważa, że warunki, jakie doprowadziły w swoim czasie do wytworzenia olbrzymich skupień wielkomiejskich, dziś nie istnieją, przeciwnie, w energji elektrycznej i motorze benzynowym mamy dziś czynniki, popierające racjonalną decentralizację. Maszyna parowa sprowadziła centralizację, motor elektryczny, pracujący tak samo ekonomicznie w małych jednostkach, jak w wielkich, telefon, samochód i samolot wołają o roz-

drobnienie warsztatów. Niema dziś nietylko powodu do skupiania obok siebie olbrzymich przedsiębiorstw, ale przeciwnie, są powody do rozdzielania poszczególnych przedsiębiorstw na rozmaite okręgi wielkiego ośrodka urbanistycznego, a nawet na rozmaite miasta. Odnosi się to zarówno do wytwórni, jak i do olbrzymich biur, np. ubezpieczeniowych: nic racjonalnego nie stoi na przeszkodzie temu, żeby poszczególne działy tych biur znajdowały się nawet w różnych miastach, wydatek na telefoniczne porozumiewanie się szefów będzie wielokrotnie mniejszy od czynszu, płaconego w wielkiem mieście za lokal.

Czy wobec tego należy się spodziewać w najbliższej przyszłości zahamowania wzrostu wielkich miast? Cytowany przez nas autor myśli, że sprawa ta będzie tylko powoli torować sobie drogę. Na przeszkodzie stoi wiele potężnych czynników, zarówno materjalnych, jak i psychicznych. Istnieją olbrzymie interesy pieniężne, jak właścicieli placów, wydawców dzienników i t. p., które będą się całą siłą przeciwstawiać procesowi decentralizacji. Trzeba się liczyć również z psychiką owczego pędu, który będzie działał jeszcze długo, oraz z tem, że wielcy szefowie i organizatorzy nie łatwo oswoją się z myślą, iż niekoniecznie trzeba mieć wszystko bezpośrednio w zasięgu swej ręki, czy oka. Ale mimo to warunki zasadnicze są dla wielkich miast niekorzystne i będą działać na korzyść miast średnich lub nawet małych, w których egzystencja ludzi będzie naprawdę możliwa, gdzie każdy będzie miał nieco miejsca dla łokci, dzieci będą mogły się bawić na powietrzu, bez obawy samochodów, a dorośli znajdą nieco spokoju i samotności, bez czego niema życia wewnętrznego.

Tak tedy amerykański badacz tych spraw skazuje nowoczesne Babilony na zagładę, może więc nie trzeba będzie zmieniać tekstu psalmów, gdyż następne pokolenia mieszczuchów będą znów wiedziały dość o owcy, aby zrozumieć werset „Pan jest moim pasterzem". A z rozdrobnieniem wielkich skupień ludzkich zmniejszy się ta „bezdomność" nowoczesnego człowieka, o której pisałem w jednym z poprzednich zeszytów „Myśli Narodowej".

ZYGMUNT RACZKOWSKI

UWAGI O FILOZOFJI HOENE-WROŃSKIEGO

(Dokończenie)

SŁYNNE „odkrycie absolutu" dokonane przez Wrońskiego, jak sam twierdzi, 15 sierpnia 1803 roku, zdaje się właśnie na tem polegać, że uświadomił on sobie — w nagłem olśnieniu, charakterystycznem przy powstawaniu nowych koncepcyj — iż stosunek obu pierwiastków poznawczych stanowić może przykład powszechnego prawa, według którego powstaje, tworzy się wszelka rzeczywistość i przez które istota rzeczywistości się wyraża. Otóż „absolut" byłby może podstawowym typem rzeczywistości, jej podstawą lub źródłem. Dwa pierwiastki, jakie stwierdzamy w otaczającym nas świecie: jeden przedmiotowy, pochodzący od niezależnego od nas bytu w sobie i drugi podmiotowy, związany z nami, ów niejako osad subjektywny na rzeczach, wynikły z ujęcia czystego bytu przez myśl — te dwa pierwiastki wskazują, naprowadzają na dwie zasady bytu, na dwa odpowiednie pierwiastki ontologiczne, dwie substancje odrębne, ostateczne składniki rzeczywistości. Te dwa pierwiastki, które u Wrońskiego noszą nazwy: *„élément — savoir"* (E_w) i *„élément — être"* (E_b), będąc składnikami każdej rzeczywistości, tem samem zawierają się również w absolucie; ale tu znajdują się już w harmonijnem zespoleniu, jakby pogodzone ze sobą: nie zlewając się, ale się nawzajem przenikając, uzależniając się wzajemnie, tworzą doskonałą całość, syntezę. Absolut, mając w sobie samym warunek swego istnienia, od niczego innego, poza sobą, zależeć nie może; przeciwnie, wszystko inne do absolutu się odnosi, względem niego się ustosunkowuje. Jako ostateczny punkt odniesienia dla wszelkiej rzeczywistości, absolut jest postulatem rozumu; w akcie rozumnego poznania przejawia się najbezpośredniej, rozum odkrywa go w sobie samym.

Nasuwają się tu pewne analogje z nauką Schellinga, zdają się też odzywać echa tomizmu [1]; w każdym razie z tego, co Wroński napomyka o absolucie, można wywnioskować, że jego treść nie wyczerpuje się przez tożsamość obu podstawowych pierwiastków rzeczywistości. Są one połączone w absolucie nie na skutek jakiegoś zewnętrznego działania, lecz same przez się, ze swej natury; istotny charakter tego połączenia wyraża się w zdolności do twórczego d z i a ł a n i a, w nieustannem tworzeniu t. j. kształtowaniu, określaniu, upowszechnianiu. Tak pojęty absolut utożsamiać się zdaje z ideą Boga, a wywód absolutu u Wrońskiego przypomina ontologiczny dowód istnienia Boga. Pierwotna twórcza jedność obu pierwiastków rzeczywistości w absolucie odpowiada zapewne owemu „λογος" początku Ewangelji św. Jana.

Oto wszystko bodaj, czego możemy się dowiedzieć od Wrońskiego o „absolucie". Ten punkt centralny, zarazem szczyt jego filozofji, osnuty jest mgłą nieokreśloności. Możnaby zresztą przyjąć, że leży to w naturze rzeczy, iż najbardziej podstawowe pojęcia nie dają się określić i nie upatrywać w fakcie nieokreślności luki i wady systematu.

Omówiłem dotąd cztery główne pojęcia tego systematu; z kolei przechodzimy do piątego, a zarazem do sprawy najważniejszej. Okazuje się bowiem, że pomimo nieokreślności absolutu, można z niego wyprowadzić rozumowo cały nasz świat rzeczywisty, tłumacząc tym sposobem wszystko, co było i co jest, oraz przewidując, co będzie — jednem słowem, rozwiązując wszelkie możliwe problematy całkowicie i ostatecznie. Zdumiewający ten proces dokonywa się, według Wrońskiego, na podstawie odkrytego przezeń „p r a w a s t w o r z e n i a" wszelkich układów rzeczywistych. Wszędzie bowiem przejawia się ten sam mechanizm tworzenia, wszędzie ma zastosowanie ten sam zasadniczy kanon, podstawowy schemat, wyrażony właśnie w tem prawie. Ta część systematu jest najciekawsza, bo filozof nietylko daje nam teorję, lecz wskazuje na różne zastosowania, zwłaszcza w dziedzinie matematyki.

[1] *„In Deo enim idem est esse et intelligere". (De potentia Dei VIII 1).*

Myśląc o tych zastosowaniach, Libelt zali się, że „Wroński wody daje, a źródło, z którego płyną (t. j. absolut) ukrywa". Czy te wody mogłyby istotnie wprawiać w ruch naukowe młyny? Mówiąc zwyczajnie, czy Wroński naprawdę obdarzył ludzkość jakąś uniwersalną metodą naukową? Czy da się kiedy na tej drodze ziścić dumny zamysł zreformowania wiedzy ludzkiej? Czy jest rzeczą możliwą oprzeć całą wiedzę na „prawie stworzenia" i w każdem naukowem rozważaniu postępować według zasadniczego schematu „prawa najwyższego" *(loi suprême)*, „zagadnienia powszechnego" *(problème universel)*, „współdziałania (zbiegu) celowego" *(concours final)?* Trzeźwo na rzeczy patrząc, wydaje się to niepodobieństwem. Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że w naukach tego typu, co fizyka, ostatnie słowo należeć będzie zawsze do doświadczenia zmysłowego i że pozostanie tu zawsze pole otwarte do nowych badań. Pozostawałaby jednak grupa nauk opartych na rozumowaniu, aksjomatycznych, przedewszystkiem cała matematyka. Uczeni — specjaliści, matematycy, zarzucali metodzie Wrońskiego zbyt daleko posuniętą ogólność; ale nikt chyba, poza nim samym, nie próbował naprawdę stosować jego metody do rozwiązania konkretnych zagadnień naukowych. Jedynie zaś na tej drodze dałaby się stwierdzić użyteczność bądź nieużyteczność pomysłu Wrońskiego. Największa trudność polega właśnie na ogólności i nieokreślności poszczególnych stopni prawa stworzenia; samo wprowadzenie na te stopnie, umieszczenie w trybach tego mechanizmu tego lub innego pojęcia naukowego byłoby chyba czynnością w dużym stopniu dowolną. Niedaleko bodaj będziemy od prawdy, jeżeli powiemy, że Wroński stworzył metodę, którą sam tylko umiał się posługiwać. Konkretnem zadaniem matematyków byłoby natomiast poddanie gruntownej analizie głośnej polemiki Wrońskiego z Lagrange'm i Laplace'm. Wielkość tych dwóch imion sama przez się nie mogłaby usprawiedliwić przyznania im racji *a priori*, bez szczegółowego rozważenia argumentów ich krytyka.

Przyjrzyjmy się teraz prawu stworzenia, starajmy się dociec, na czem ono właściwie polega, jaka jest treść tej konstrukcji. Wiemy, że świat rzeczywisty sprowadza się do dwojakiego rodzaju elementów. Są one różnorodne i przeciwstawne sobie; a jednak w rzeczach są współobecne. Jak to jest możliwe? Zdaniem Wrońskiego można to wytłumaczyć tylko przez przyjęcie trzeciego elementu, zwanego neutralnym *(„élément — neutre")*, ponieważ jego funkcja ma polegać na „neutralizacji" elementów „bytu" i „wiedzy", umożliwiającej ich współrzędne istnienie w każdej rzeczy. Przenosząc te stosunki w sferę ontologiczną, otrzymuje się punkt wyjścia dla apriorycznej konstukcji rzeczywistości, początek schematu prawa stworzenia [2]). Stanowi ów punkt wyjścia doskonała równowaga i harmonja w absolucie trzech elementów:

I Elementu
podstawowego
E_n

II Elementu
biegunowego
E_b

III Elementu
biegunowego [3])
E_w

[2]) Wroński podaje ten schemat w rozprawie wstępnej z „Apodyktyki". Por. także: *„Les Cent Pages décisives pour S. M. L'Empereur de Russie, Roi de Pologne"*, Metz 1850, str. 34 — 40 *(„Loi de création de tout système de réalité")*. Trentowski uważa to pismo za „bardzo ważne pod filozoficznym względem" i zalicza do „najdojrzalszych" prac Wrońskiego. („Panteon wiedzy ludzkiej", t. II, str. 177. 1874).

Tu zatrzymajmy się na chwilę i zważmy, jaka może być doniosłość tego pierwszego kroku. Przypuśćmy, że stoimy na stanowisku, które daje się streścić w tych słowach: istnieją jaźnie i istnieje coś, co jaźnią nie jest; jaźń poznaje ten byt sobie obcy, ujmując go w sobie właściwy sposób i przez to samo go zmieniając; w rzeczach, uważanych przez nas za rzeczywiste, jest stąd coś z jaźni, oraz coś względem jaźni obcego, odrębnego; tkwi w nich pierwiastek podmiotowy i przedmiotowy. Takie stanowisko możnaby uznać za podstawę do porozumienia się; są to bowiem zdania mniej więcej zrozumiałe. Ale teraz występuje oto nowy, trzeci pierwiastek, w charakterze pierwistka podstawowego; tamte dwa nazywają się odtąd biegunowemi. Dodajmy, że potem przypisuje się im także inne cechy — E_b ma być bezwładny, E_w — samorzutny — a staje się jasne, że operowanie takiemi trzema elementami nasunąć może (jeżeli nie samemu twórcy systematu, to jego następcom) różne mniej lub więcej fantastyczne pomysły, jak np. pomysł analogji pomiędzy biegunowością w magnesie a różnicą płci. Wznoszenie tego rodzaju konstrukcyj myślowych daje zwykle twórcom tyle zadowolenia, że zżywają się z niemi do tego stopnia, iż za żadną cenę nie chcieliby się ich wyrzec; wkońcu zaczynają wierzyć niezłomnie w prawdziwość swych konstrukcyj, a wtedy są skłonni do lekceważenia wszystkiego, co nie daje się z niemi uzgodnić. Zrozumiałe to z psychologicznego punktu widzenia; ale jest to ta niebezpieczna droga, po której kroczył np. Schelling, budując swą *„Naturphilosophie"*; według metafizyków tego typu, jeżeli jakieś fakty nie mieszczą się w ramach ich teoryj, to „tem gorzej dla faktów".

Powracam jednak do konstrukcji Wrońskiego. Prawo stworzenia polega przedewszystkiem na „ruchu i wymianie elementów", które poznaliśmy. Nieabsolutne, względne sfery rzeczywistości charakteryzują się przez zachwianie pra-równowagi i harmonji, panujących w absolucie, przez przewagę jednego pierwiastka nad drugim. Oto, co mianowicie się z niemi dzieje:

(A). 1-o, każdy z elementów biegunowych łączy się z neutralnym, czyli podstawowym;

2-o, dzięki temu złączeniu, a następnie skrajnemu oddaleniu się od pierwotnego ośrodka, tworzą się dwa pochodne elementy, t. zw. powszechne (IV i V);

3-o, w powrocie zaś do pierwotnego ośrodka — dwa inne pochodne elementy, tak zwane przejściowe (VI i VII).

Mamy wiec siedem pierwiastków lub elementów, ale na tem nie koniec. Była to dopiero pierwsza serja zmian; druga powstaje dzięki temu, że wszystkie te elementy mogą się do siebie różnie ustosunkować, przechodząc przez cztery klasy lub układy;

(B). 1-o, elementy pierwszorzędne, E_b i E_w, wpływają na siebie częściowo, tworząc dwie klasy „różności w złączeniu" (klasa I i II);

2-o, następnie wpływają na siebie tak, że powstaje harmonja tych zasadniczych elementów (klasa III);

[3]) Nietrudno się domyślić, że w powstaniu koncepcji tej początkowej „triady" odegrał rolę dogmat Trójcy św.

3-o, wreszcie odrębne elementy pochodne, powracając ku pierwotnemu ośrodkowi, utożsamiają się ze sobą przy pomocy elementu podstawowego, tworząc t. zw. „koronę swego stworzenia" (klasa IV).

To łączenie się przeciwieństw przypomina proces djalektyczny Hegla; w całości zresztą mamy tu niewątpliwie coś odmiennego, mimo niezaprzeczalnego podobieństwa zasadniczego pomysłu. Właśnie prawo stworzenia, dominujące przecież w tym systemacie, decyduje o zaliczeniu Wrońskiego, jako metafizyka, do idealistów.

Opisane wędrówki i przekształcenia elementów mogłyby, zapewne, skojarzyć się w naszym umyśle z jakimś obrazem, np. z obrazem jakby „pulsowania", mającego może stanowić istotę procesu rozwojowego świata, istotę stawania się. Coś niewyraźnego wyczuwamy tu intuicyjnie, uświadamiając sobie jednocześnie rozpaczliwość sytuacji, w której znaleźlibyśmy się, gdyby trzeba było to „coś" wyrazić jakimś zrozumiałym dla wszystkich językiem. Napróżno też sięgamy do komentatorów, jak Fr. Warrain, który na temat prawa stworzenia wygłosił niedawno odczyt w Sorbonie; piszą oni tak samo niezrozumiale, jak Wroński; wydaje się rzeczą wątpliwą, czy cokolwiek z tego rozumieją.

Niestety! Myślowe schematy Wrońskiego są tak ogólne, że ta ogólność graniczy niemal z zupełną nieokreślonością; gdy chcemy przyjrzeć się im dokładniej, wymykają się nam z ręki, stając się nieuchwytne. Wprawdzie Trentowski broni Wrońskiego przed tym zarzutem, twierdząc, że „właśnie ta ogólność i nieoznaczoność jest absolutnością" („Panteon" II, 173). W takim razie nie może być mowy o zrozumieniu tych rzeczy — trzeba je przyjąć na wiarę; wobec zaś koniecznej jakoby nieoznaczoności, staje pod znakiem zapytania możność praktycznego stosowania tych schematów. W tych warunkach niepodobna zbytnio się dziwić stanowisku, jakie w roku 1810 zajął wobec Wrońskiego Instytut Francuski.

Z takim stanem rzeczy trudno się jednakże pogodzić; z niecierpliwością więc szukamy dalej w tekstach jakichś wyjaśnień, a zwłaszcza zastosowań. Pewnych rzeczy możemy się jeszcze dowiedzieć. Co się tyczy elementów pochodnych, znajdujemy wyjaśnienie, że w tworzeniu się IV-go i V-go przejawia się jakby pewna skrajność, jednostronność w przewadze bądź pierwiastka objektywnego, bądź subjektywnego; w związku z tem budzi się dążność do przywrócenia współrzędności E_b i E_w, do neutralizacji tych elementów — i jako wyraz tego dążenia występują elementy VI i VII. Kładąc nacisk na tę skrajność, na to jakby przekraczanie właściwych granic, można dostrzec znowu analogję z bezwładnością i pokrewnemi objawami w świecie materjalnym; ale to także, jak się zdaje, byłoby powierzchowne i nie trafiałoby we właściwą intencję Wrońskiego.

Poznaliśmy dwie serje zmian i przekształceń w świecie pierwiastków rzeczywistości: pierwsza, t. zw. część elemetarna prawa stworzenia (A), stanowi opis powstawania różnorodności rzeczy; druga, t. zw. część systematyczna (B) — wskazuje możliwe połączenia, powiązania tych różnorodnych rzeczy lub bytów rzeczywistych (*des réalités*). Pozostając względem siebie w trzech klasach w stosunku różności, w czwartej i ostatniej wchodzą w stosunek tożsamości. Klasa I jest objektywizacją pierwiastka subjektywnego, klasa II, odwrotnie, jest poddaniem pierwiastka objektywnego ujęciom subjektywnym. Te dwa przeciwstawne kierunki procesów w łonie rzeczywistości zbiegają się w klasie III, w tym zbiegu zaś przejawia się celowość, ukryta w przeciwstawności, pozornie nie dającej się pogodzić.

Tu zauważmy nawiasowo, że magiczne liczby 7 i 3 zdają się odgrywać w prawie stworzenia doniosłą rolę; ponieważ i pozatem z temi liczbami można się niejednokrotnie u Wrońskiego spotkać, wiadomo zaś, że trójka i siódemka wciąż występują u mistyków, np. u Boehme'go, więc — przy powierzchownem ujęciu—nasuwa się przypuszczenie, że i Wroński jest mistykiem. Przypuszczenie to byłoby niesłuszne. Pomimo przeciwnych pozorów, Wroński jest raczej racjonalistą. W powtarzaniu się pewnych układów, trójkowych lub innych, przejawia się jego konstruktywizm, i jakby pewne estetyczne upodobania. Nie da się zresztą zaprzeczyć, że mamy u Wrońskiego przecenianie wagi słowa, znaczenia zewnętrznego kształtu i wyrazu myśli.

To wszystko, co dotychczas przedstawiłem, jako prawo stworzenia, dotyczy poznania tego, co jest, wszelkich indywidualnych bytów w układzie rzeczywistości. Mamy tu jakby zejście, regresję, od danego nam bezładnego rzeczywistego świata do zasady podstawowej, do źródła, t. j. do absolutu. Tej teoretycznej części prawa stworzenia odpowiada analogicznie zbudowana część techniczna albo praktyczna; tu idzie o to, co należy uczynić, aby „dopełnić rzeczywistość". Jest to wyjście, progresja, z naczelnej zasady do rzeczy, czyli stwarzanie nowej rzeczywistości. Teorja jest oparta na zasadzie indywidualizacji, technja na zasadzie powszechności [4]).

Obie części systematu, teoretyczna i praktyczna, są ze sobą harmonijnie powiązane. Człowiek, który poznał zasadę bytu, może i powinien być twórcą nowej rzeczywistości; tak wolnoby, jak mi się wydaje, sformułować najgłębszą i zapewne najbardziej wartościową myśl tej filozofji. Przenikają ją założenia natury metafizycznej, ale i dla etyki można znaleźć miejsce w jej ramach. Podstawę do odpowiedzi na pytanie: co mam czynić? — daje właśnie druga, techniczna część prawa stworzenia Hasło „*autocréation*", stworzenia na nowo siebie samego, narodzenia się do nowego, wyższego życia [5]), jest wzniosłem przykazaniem mesjanizmu, czyli syntezy filozofji z religją.

Ten oto pierwiastek czynu, twórczości jest w uniwersalnej, ogólnoludzkiej filozofji Wrońskiego pierwiastkiem polskości. Dążność praktyczna, życiowa, dążność do realizacji, znamienna dla naszych myślicieli, przebija się ostatecznie przez gąszcze najbardziej abstrakcyjnych formułek filozofji absolutnej—i w tragicznej postaci jej twórcy, w tym autorze francuskim, zwolenniku filozofji niemieckiej, w tym człowieku, który wspaniałe horyzonty wskazywał rosyjskiemu carowi, pozwala nam uznać i uczcić Polaka.

BOLESŁAW GAWECKI

---

[4]) „Technja", jak „teorja", składa się z dwóch części: elementarnej i systematycznej. W części elementarnej technji cztery pierwiastki pochodne (IV—VII) doznają „genetycznego dopełnienia". W części systematycznej w podobny sposób klasa III przekształca się w zasadę racyj dostatecznych, a klasa IV — w „prawo najwyższe". Zarówno w teorji jak w technji naprzód jest mowa o treści, następnie o formie t. j. o faktycznem powstawaniu bytów rzeczywistych i o ich formalnem ustosunkowaniu.

[5]) „*Oportet vos nasci denuo*". (Ewang. św. Jana w rozdziale III).

DZIESIĘCIOLECIE SLAWISTYKI WŁOSKIEJ

PRZED wojną światową tylko we Francji i w Niemczech rozwijały się studja nad kulturą narodów słowiańskich (zwłaszcza filologja i językoznastwo), przyczem ogólny zakres badań naukowych, jak tembardziej zainteresowań popularnych wśród szerszych warstw społecznych był bardzo szczupły. Przewrót polityczny, dokonany przez pogrom państw centralnych, upadek Austrji i Rosji carskiej, a wreszcie przez zahamowanie ekspansji Sowietów dzięki zwycięstwu Polski w 1920 r. — wszystko to stworzyło nową epokę w Europie środkowej i wschodniej. Powstanie nowych państw lub powrót do życia państwowego kilku narodów słowiańskich oraz nowe konfiguracje państw istniejących już przed wojną, spowodowały w całym świecie żywe zainteresowanie polityczne i ekonomiczne sprawami środka i wschodu Europy. Za względami polityczno-ekonomicznemi podążył niebawem szybki rozkwit badań naukowych, dla których kultury narodów słowiańskich nabrały cech atrakcyjności i aktualności.

Na pierwszym planie stoją dotychczas studja słowiańskie we Francji, tuż obok niej stanęły dziś Włochy; Anglicy i Niemcy pozostali wtyle, choć i tam nie brak ciekawych poczynań i wysiłków.

Niezwykle pośpieszne powstanie i rozrost slawistyki włoskiej są zastanawiające. Jak w całem życiu nowej Italji przebija się znamienna ruchliwość, szybkie tempo, energja i ekspansywność, samodzielność i szerokość horyzontów, tak również w dziedzinie zainteresowań Europą środkową i wschodnią, a przedewszystkiem krajami słowiańskiemi, Włochy poczyniły w ciągu ostatniego dziesięciolecia ogromne postępy.

Ośrodkiem slawistyki włoskiej stał się subwencjonowany przez rząd faszystowski *„Istituto per l'Europa Orientale“*, który pod prezydencją wybitnego prawnika, profesora uniwersytetu w Rzymie, eksc. Amedeusza Giannini'ego, święci obecnie swój dziesięcioletni jubileusz.

Instytut, powstawszy z inicjatywy Giannini'ego, ma tę ważną zasługę, iż przedewszystkiem skupił rozproszonych slawistów włoskich, a następnie wyprodukował, pośrednio, spory zastęp młodych pracowników. Instytut był i jest duszą slawistyki włoskiej. Stworzono przy nim pokaźną bibljotekę, którą częściowo zakupiono, a częściowo powiększono darami prywatnemi, towarzystw i rządów obcych. Bibljoteka ta posiada obecnie 30,000 tomów i ponad 200 czasopism. Pierwszym perjodykiem, wydawanym przez Instytut od r. 1921, była *„L'Europa Orientale“*, w której współpracowali i współpracują nadal Włosi i cudzoziemcy, dając wiele cennych studjów i wiadomości. Po kilku latach zaczęły powstawać w łonie Instytutu autonomiczne sekcje, przedewszystkiem sekcja słowiańska, powierzona profesorowi Aurelio Palmieri, a później prof. E. Lo Gatto, któremu zawdzięcza swe powstanie w r. 1926 *„Rivista di letterature slave“* („Przegląd literatur słowiańskich"). W odstępach paroletnich ukazują się staraniem Instytutu *„Studi bizantini“* (dotychczas 2 tomy), pod redakcją prof. G. Mercati. — W 1927 r. powstała sekcja rumuńska pod kierownictwem prof. C. Tagliavini; wydaje ona *„Studi rumeni“*, których wyszło 4 tomy.

W artykule wstępnym, umieszczonym w przedostatnim zeszycie *„L'Europa Orientale“* (Nr. 1—2), Giannini zapowiada powstanie w ciągu roku bieżącego następujących sekcyj 1) ugrofińskiej, pod kierownictwem prof. P. E. Pavolini'ego, 2) bałtyckiej, pod kierownictwem prof. G. Devoto, 3) albańskiej pod kierownictwem profesorów Giannini'ego, Almagià i Bartoli'ego. Każda z tych sekcyj będzie miała osobny organ. Sekcja bałtycka wydała właśnie w maju r. b. pierwszy tom publikacji pt.: *„Studi baltici“*.—Wydawnictwa Instytutu obejmują w czterech serjach: 22 dzieła z zakresu literatury, sztuki i filozofji, 20 dzieł politycznych, historycznych i ekonomicznych, 1 dzieło z dziedziny bibljografji, 10 tomów odnoszących się do praw i traktatów międzynarodowych. Opracowanie słowników i gramatyk języków słowiańskich pozostaje ciągle jeszcze w sferze obietnic i zamiarów. W tym roku ma wyjść tylko gramatyka węgierska.—Z uznaniem należy podkreślić fakt, iż ostatnio Akademja Włoska przeznaczyła 8,000 lir na nowy słownik polsko-włoski, któryby odpowiadał wymaganiom nowoczesnym.

O ile opracowanie podręczników jest muzyką przyszłości, o tyle pięknie realizuje się *Piccola Biblioteca Slave*, wydająca przekłady i studja krytyczne z zakresu literatur narodow słowiańskich. Na 16 tomików, ogłoszonych dotychczas, połowę poświęcono literaturze polskiej. 1) Damiani: *I narratori della Polonia d'oggi*, komentowane przekłady fragmentów ze współczesnych powieści polskich, 2) G. Maver: *Alle fonti del romanticismo polacco*, 3) przekład liryk M. Konopnickiej, 4) R. Pollak: *Pagine di cultura e di letteratura polacca*, 5) A. Stefanini: *Pessimismo e ottimismo fredriano*, 6) G. Maver: *Patriottismo e universalismo nella letteratura polacca*, 7) Damiani'ego przekład „Trenów" Kochanowskiego, 8) W. Giusti: *Aspetti della poesia polacca contemporanea.*

Poważnie przedstawiają się ogłaszane przez Instytut monografje o poszczególnych państwach: Jugosławji, Albanji, Rumunji, Czechosłowacji i Węgrzech. Obecnie są zamierzone monografje o Polsce i o Litwie. Opracowania te, wykonywano zbiorowo, mają charakter encyklopedyczny a dla Włochów są cennem źródłem ścisłych i fachowych informacyj.

Pod względem podręczników historji i literatury najszczęśliwsza jest Rosja, gdyż Instytut wydał już trzytomową „Historję Rosji" Szmurły oraz czterotomową „Historję literatury rosyjskiej" prof. Lo Gatto. — O ile wiemy, prof. G. Maver, wykładający w uniwersytecie rzymskim literaturę polską, przygotowuje historję literatury polskiej, osobno w ujęciu naukowem, osobno zaś w formie popularnej. Tenże autor ma opracować gramatykę polską. Oby najrychlej!

Z dziedziny prawniczej zanotować należy dwutomowe dzieło Giannini'ego pt. *„Le costituzioni degli Statti dell' Europa orientale"*. Z zakresu historji sztuki ukazało się tylko studjum Mikołaja Jorgi: *„L'Arte popolare in Rumania"*. Na dziesięciolecie Instytutu sekcja słowiańska wydała specjalny tom *„Rivista di letterature slave“*, zawierający obfitą treść. Na miejscu naczelnem umieszczono doskonały artykuł p.t. *„La slavistica italiana nel decennio passato e i suoi compiti futuri"* („Slawistyka włoska w ubiegłem

dziesięcioleciu i jej przyszłe zadanie"). Autorem jest prof. Giovanni Maver, który w r. 1920 „trzymał do chrztu" oficjalną slawistyką włoską, gdyż on to pierwszy rozpoczął wykładać literatury słowiańskie w uniwersytecie w Padwie, w którym też założył bibljotekę Instytutu Filologji Słowiańskiej. Maver, najznakomitszy dziś slawista włoski, przedstawia synetycznie metody pracy naukowej i popularyzacyjnej, główne problemy slawistyki w Italji oraz jej niedostatki [1]). Stwierdza, iż zasada *slavica non leguntur* została w znacznej mierze przezwyciężona, gdyż spory, a stale zwiększający się zastęp uczonych zna języki słowiańskie, to też coraz rzadziej zdarzają się krytycy lub tłumacze, nie mogący posługiwać się bezpośrednio tekstami słowiańskiemi.— W przeciwieństwie do Francji i Niemiec slawiści włoscy nie dzielą się na krytyków badaczy z jednej strony, a popularyzatorów i tłumaczów ze strony drugiej. Slawiści włoscy, dzięki swoistemu temperamentowi i zamiłowaniom, są równocześnie uczonymi erudytami, informatorami i tłumaczami. Sądzę, iż fakt ten jest raczej dodatni, gdyż przedewszystkiem uczeni nie zamknęli się w ciasnym kręgu zagadnień specjalnych, a następnie popularyzacja slawistyki odbywa się na podstawie sumiennych studjów przygotowawczych. W ten sposób ideał związku nauki z życiem praktycznem został szczęśliwie zachowany. — Jakkolwiek rozwój slawistyki włoskiej wydaje się nader wszechstronny, istnieją przecież jeszcze braki dotkliwe i obszerne, zarówno w zakresie badań językoznawczych i historycznych, jak religijnych i etnograficznych. Najlepiej opracowana jest dziedzina literatur słowiańskich, to też na tem polu trzeba—zdaniem Mavera—przeprowadzić obecnie należyty podział funkcyj, a zwłaszcza położyć nacisk na studja oryginalne samych Włochów, które przynosiłyby samodzielne wyniki dociekań naukowych. — Za specyficzne zadanie slawistyki włoskiej uważa Maver studjum wpływów kulturalnych Italji w krajach słowiańskich.

Obok artykułu Mavera znajdujemy ciekawą próbę syntezy literatury bałgarskiej, pióra prof. E. Damiani'ego, poza tem prace W. Giusti'ego, R. Poggioli, Lo Gatto i in., wreszcie trzy rozprawki odnoszące się do literatury polskiej, mianowicie Krystyny Agosti Garosci: „Motywy i refleksy mickiewiczowskie w „Popiołach" Żeromskiego"; Nelly Nucci: „O stosunku Sienkiewicza do źródeł historycznych" oraz Dr. G. Clarotti'ego interesujący szkic informacyjny o polskiej twórczości dramatycznej (wszystkie prace napisane po włosku, jak zawsze w „*Rivista di letterature slave*"). Prawdziwą ozdobą tomu jubileuszowego są prześliczne przekłady siedmiu liryków Kazimierza Tatmajera, dokonane przez P. E. Pavolini'ego, członka Akademji Włoskiej. Np. świetny przekład wiersza „Mów do mnie jeszcze":

Parlami ancora... da lontano sento
scorrer la voce sull' orlo del vento:
d'ogni Tuo detto il cuor mi s'infiora...
parlami ancora...
Parlami ancora... Quella voce cara
mi guinge qual preghiera sulla bara
un brivido di morte vi dolora...
parlami ancora...

Jeśli utwór Tetmajera ma w języku włoskim może mniej słodyczy, niż w oryginale, to zyskał jeszcze na dźwięczności.

Dodajmy nawiasem, iż wkrótce ukaże się w druku tłumaczenie wyboru pieśni ludowych polskich, wykonane bardzo starannie przez młodego, zdolnego slawistę p. Luigi Salvini, który wyjeżdża wkrótce w pierwszą podróż po Polsce.

Pewną przeszkodą w szerzeniu znajomości literatur narodów słowiańskich w Italji są ciężkie, jak wszędzie zresztą, warunki wydawnicze. Trudno nieraz znaleść nakładcę na tom osobny lub miejsce w perjodykach na umieszczanie przekładów, tem bardziej, iż „*Rivista di letterature slave*" ma być obecnie poświęcona wyłącznie studjom krytycznym. Ze względu na rosnące stale potrzeby polonistyki byłoby rzeczą niezmiernie ważną i pożądaną założenie w Rzymie czasopisma polsko-włoskiego, któreby skupiało Włochów polonistów, a równocześnie było zachętą i atrakcją dla młodych adeptów polonistyki, dając im pewność i łatwość ogłaszania drukiem własnego dorobku krytycznego lub artystycznego (przekłady).

Stwierdzając z radością i z głębokiem uznaniem wspaniały rozkwit slawistyki włoskiej w ciągu ostatniego dziesięciolecia, nie możemy powstrzymać się od pewnego zastrzeżenia. Wskutek zbyt pośpiesznej może akcji Instytutu dla Europy Wschodniej dostają się do jego wydawnictw, na szczęście rzadko, elaboraty tandetne, zawierające informacje nieścisłe, a niekiedy wręcz fałszywe, wynikające z ignorancji lub ze złej woli. Tak np. w świeżo wydanym zeszycie Studjów bałtyckich („*Studi Baltici*" Nr. 1, Roma 1931) znajdujemy powierzchowny i kłamliwy artykuł G. Salvatori'ego o literaturze litewskiej: „*Figure del risorgemento litterario lituano: G. Maironis Macziulis*". Co tam p. Salvatori wypisał o Macziulisie, to nas mniej obchodzi; niestety, pierwszy rozdział swej elukubracji poświęcił refleksjom historycznym, w których roi się od płytkich a wrogich wycieczek przeciwko Polsce. Nie przepuścił i Mickiewiczowi, cytując opinje „uczonych" litewskich, iż Mickiewicz „jedynie przypadkowo" pisał po polsku. Ładny przypadek! — Salvatori informuje, iż Mickiewicz urodził się na Litwie, a tylko kształcił się w Polsce, tak jakby Nowogródek i Wilno nie leżały w jednym i tym samym kraju. Wreszcie ignorant włoski przypomina, iż poeta nazywał Litwę „swoją kochaną ojczyznę"; oczywiście Salvatori nie zna lub przemilcza prawdę, iż dla Mickiewicza Litwa, jak i Korona, były cząstkami wspólnej istności wyższego rzędu — Polski. Pominąwszy już względy polityczne, sądzę, iż tego rodzaju tendencyjne i fałszywe wypracowania pseudo - literackie, nie przynoszą zaszczytu poważnym publikacjom Instytutu.

Chlubny bilans dziesięcioletnich poczynań *Istituto per l'Europa orientale* rokuje największe nadzieje na przyszłość, tem bardziej, iż slawistyka włoska, która zrazu szła głównie na szerokość i na ilość, zaczyna obecnie kierować się — na głębokość i na jakość.

Rzym MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

[1]) Autor nie podaje bibljografji przedmiotu, odsyłając ciekawych do gruntownego artykułu E. Damiani'ego, który drukowało „Archiwum neofilologiczne", Kraków 1930, wyd. Polskiej Akademji Umiejętności.

NA WIDOWNI

Przewidywanie Chestertona. — Fanatyzm wolnomyślicielski w Hiszpanji. — Faszyzm i Akcja Katolicka we Włoszech. — Ideologja „państwowa“ jako źródło zatargów z Kościołem.

Z PEWNEM niedowierzaniem słuchałem przed paru laty G. K. Chestertona, który będąc podówczas w Warszawie (rozmowa toczyła się na temat wrażeń autora „Napoleona z Notting-Hill” z niedawnej podróży po Ameryce) zapewniał z ożywieniem, że dla nadchodzącego okresu historycznego charakterystycznem zjawiskiem staną się — nowe wojny religijne. Wobec wciąż gromadzących się faktów pogląd powyższy wydaje się dziś o wiele mniej paradoksalny, aniżeli byłby nim jeszcze bardzo niedawno. W obliczu olbrzymiego przewrotu ekonomicznego, zmieniającego dotychczasowy układ stosunków gospodarczych w świecie, w obliczu wielkich przemian politycznych na wszystkich kontynentach, coraz wyraźniej ujawniać się zaczyna przeświadczenie, że w tym kryzysie najdonioślejszemi, najbardziej aktualnemi sprawami chwili bieżącej okazują się — zagadnienia życia religijnego.

Zastanawiajaca niewątpliwie jest brutalność środków, jakie w ostatnich tygodniach w Hiszpanji zaczął stosować obóz materjalistycznego poglądu na świat, ateizmu, radykalnego racjonalizmu rewolucyjnego i wolnomyślicielstwa w dążeniu swem ku pognębieniu religji katolickiej. Nawet dziś jeszcze, w sto czterdzieści lat od Wielkiej Rewolucji Francuskiej, po liberalizmie i marxizmie, po skrupulatnie przeprowadzonem zeświecczeniu życia publicznego na całym obszarze Europy, katolicyzm pozostaje w oczach tego obozu czynnikiem dostatecznie żywotnym, ażeby w walce z nim nie zawahał się przed użyciem metod cynicznie barbarzyńskich, bezczeszczeniem świątyń i podpalaniem klasztorów.

Ale zjawiskiem o wiele bardziej znamiennem, o wiele więcej nasuwającem refleksyj jest zaostrzający się w ostatnich tygodniach zatarg między Kościołem i państwem we Włoszech. Jaki jest sens rzeczywisty tej walki, co stanowi jej treść i podłoże?

Nie należy zapominać, że w tym wypadku jako przeciwnik w sporze z Watykanem staje faszyzm, a zatem obóz polityczny, który przez reformę Gentilego przywrócił w szkole włoskiej obowiązkową naukę religji, który przez Umowę Laterańską (11.II. 1929) uznał świecką władzę Papieża, zabezpieczył w konkordacie prawa kongregacyj religijnych, zorganizowanie opieki duszpasterskiej w wojsku, a w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego bezwzględne uznawanie ślubów kościelnych oraz orzeczeń sądów kościelnych przez władze państwowe. Jasne jest, że ruch faszystowski, nacjonalistyczny i tradycjonalistyczny równocześnie, walkę swoją z Watykanem pojmuje zupełnie odmiennie, aniżeli dążące do zniszczenia religji, zasadniczo wrogie katolicyzmowi prądy komunistyczne czy masońskie. Chęć skrępowania i podporządkowania sobie Akcji Katolickiej jest ze strony faszyzmu poczynaniem wyłącznie politycznem, jest wyrazem sporu pomiędzy Kościołem a państwem o stosunek wzajemny i zakres wpływu przy organizowaniu i kierownictwie przejawami kulturalnego i społeczno - politycznego życia narodu włoskiego.

Otóż walka z religją, jej prześladowanie, jak ostatnio w Hiszpanji, Rosji Sowieckiej lub Meksyku, następuje wtedy, gdy osłabienie ducha religijnego w części przynajmniej społeczeństwa zapewni trjumf kierunkowi zdecydowanie ateistycznemu, zaś obojętność znacznego odłamu pozostałych umożliwi opanowanie władzy przez organizacje wrogie religji i posługiwanie się przez nie państwem jako narzędziem dla urzeczywistnienia swoich doktryn i celów. Historja, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat stu pięćdziesięciu, zanotowała szereg długi podobnych usiłowań. Natomiast walka między Kościołem a państwem, uznającem religję, walka polityczna, z natury rzeczy może pojawiać się przedewszystkiem w tych okresach, kiedy duch religijny umacnia się, upowszechnia, kiedy przenika coraz głębiej wewnątrz zbiorowości i nadaje wyraźne oblicze całemu jej życiu. Tylko wówczas, kiedy religja jest prawdą żywą, rzeczywistą, potężną siłą w duszach miljonów, staje się aktualne zagadnienie wpływów politycznych (a także ambicyj politycznych) duchowieństwa i Kościoła, tylko wówczas władza świecka ma interes, ażeby siłę tę użyć dla swoich politycznych zamysłów i uzależnić ją od swojej woli. Nie jest przypadkiem bynajmniej, że właśnie w katolickiem Średniowieczu rozgorzała najgwałtowniejsza walka między władzą duchowną i świecką, pomiędzy papiestwem i cesarstwem. W narodach katolickich coraz wyraźniej dostrzec się dają zapowiedzi nadchodzącej epoki odrodzenia religijnego: interesy Kościoła, jego nauka i jego dążenia coraz większy na nowo zaczynają mieć wpływ na kształtowanie się życia zbiorowego. A równocześnie odżywają też stare zagadnienia Średniowiecza, powracają dawne namiętności i walki...

Dlaczego jednak zatarg ten wybuchnął właśnie we Włoszech i przejawił się w formach tak jaskrawych? Niezaprzeczenie wielki wpływ na to wywrzeć musiała okoliczność, że ruch faszystowski, aczkolwiek w założeniach swych nacjonalistyczny, zbyt silnie i zbyt jednostronnie kładzie nacisk na przewagę czynnika państwowego, na wszechobecność i wszechwładzę tego czynnika w organizowaniu życia narodu.

Rozmaite są przyczyny tego zjawiska. Działa tu przedewszystkiem charakter dyktatorski rządów faszystowskich, dyktatura bowiem, mając u podstaw swych zaufanie w cudowną moc zewnętrznego przymusu, z natury rzeczy niejako skłonna jest do uzależniania od swojej władzy i poddawania nadzorowi państwowemu wszelkich wogóle przejawów życia społecznego, krępowania wszelkiej samorzutności i swobody [1]).

Jest wszakże i przyczyna druga, równie ważna, o której zapominać niewolno. Faszyzm, jako

[1]) Jako czynnik dodatkowy, utrudniający położenie, wymienić również należy, że żywioły, stanowiące „ramię zbrojne“ albo przynajmniej fizyczne oparcie dyktatury, rachując na bezkarność, zawsze skore są do popełniania najbardziej niestosownych wybryków, jak to zdarzyło się też podczas niedawnych manifestacyj młodzieży faszystowskiej, kiedy publicznie wznoszono okrzyki przeciwko Ojcu św., palono egzemplarze dziennika *„Osservatore Romano“*, wybijano szyby w lokalach organizacyjnych Akcji Katolickiej i t. p. Z drugiej strony atoli podejrzane conajmniej musi wydawać się „święte oburzenie“, z jakiem o zajściach tych wypowiadają się rzecznicy obozu liberalno-masońskiego, z wyrozumiałą dyskrecją traktujący świętokradztwa i zbrodnie, dokonywane równocześnie przez nieprzyjaciół religji katolickiej w Hiszpanji.

prąd narodowy, jest mieszaniną różnorodnych tradycyj, przez historję Włoch przekazanych, można odróżnić żywe w nim pierwiastki średniowiecznocechowe, nie obcą mu jest i epoka Odrodzenia i *Risorgimento*. Ale — jak słusznie w książce swej „Państwo antyczne i jego renesansy" stwierdza prof. Wereszczyński — „ponad wszystkiem góruje w faszyzmie dążność nawiązania się do dawnego imperjum rzymskiego, tak w kwestjach zasadniczych, jak nawet w gestach czy drobiazgowych szczegółach. Więc przebija się tam pragnienie obudzenia w narodzie tradycji rzymskiej, dumy z powodu świetnej przeszłości, sugestji dziedziczenia celów politycznych i kulturalnych cech Rzymu. Działa się na fantazję społeczeństwa, odbudowuje się przeszłość w jej zabytkach historycznych i zasadach politycznych, rzuca się hasła oszałamiające, utrzymując naród w pewnej ekstazie, że jako spadkobierca zamarłej sławy, idzie prostą drogą do odzyskania tej przeszłości..." (str. 176).

Państwo zaś antyczne wogóle, a starożytny Rzym w szczególności, to państwo deifikowane, uważane za absolut w dziedzinie moralnej, najwyższy i nieograniczony władca dusz i w ostatniej instancji orzekający sędzia sumień obywateli. Całkiem wyraźnie dźwięczy to „klasyczne" pojmowanie władzy państwowej w takiem np. oświadczeniu Mussoliniego: „Ideą centralną naszego ruchu jest Państwo... Oto nasza formuła: wszystko wewnątrz Państwa, nic poza Państwem, nic przeciw Państwu" (mowa do obywateli Medjolanu, dnia 28 października 1925 r.).

Tej właśnie pogańskiej idei ubóstwienia Państwa od początku przeciwstawia się Chrystjanizm, głosząc, iż jest dziedzina sumienia jednostki, żadnemu nakazowi władzy państwowej nie podległa, Państwo zaś urzeczywistniać ma w swej organizacji ład moralny, ale nie jest bynajmniej jego twórcą i porządku tego nie ma ono prawa przekraczać. O tę zasadę walczył Kościół Katolicki w ciągu stuleci, kładąc w ten sposób, w ustawicznem zmaganiu się z nawrotami pogaństwa, fundamenty dzisiejszej cywilizacji europejskiej. Z tej zasady wywodzi się nowożytne pojęcie narodu, wewnątrz sumienia jednostki przenoszące ciężar odpowiedzialności moralnej za losy historyczne zbiorowości i żądające od jednostki wierności idei narodowej wówczas nawet, jeśliby państwo, które idei tej było wyrazicielem i strażnikiem, uległo z jakiejkolwiek przyczyny zagładzie. Z tej zasady zrodził się ideał ustroju, najtrwalej zabezpieczającego potęgę i wszechstronny rozwój narodu, ustroju zapewniającego harmonję i równowagę pomiędzy czynnikiem społecznym i państwowym.

Dla faszyzmu, który jest prądem narodowym, owa ideologja „państwowa" nie jest zgoła i nie może być podstawą doktryny, jest przeciwnie tendencją powierzchowną, odchyleniem od kierującej nim myśli nacjonalistycznej i jej najgłębszych założeń. Niemniej warto zwrócić uwagę na to, że tak pojęta „ideologja państwowa" z konieczności prowadzić musi w wyniku do zatargu pomiędzy Kościołem i państwem, nawet jeżeliby obie strony najgoręcej życzyły sobie go uniknąć.

JAN REMBIELIŃSKI

ZE ŚWIATA

Z PROPAGANDY POLSKIEJ W ANGLJI

PROPAGANDA polska w krajach o kulturze młodszej, niż nasza, robi się sama. Z chwilą, gdy Rosja zmieniła się w królika doświadczalnego marksizmu, Polska stała się największem państwem słowiańskiem, w którem panują normalnie pojęcia europejskie, i wiedzą o tem pokrewne nam narody południowego wschodu Europy. Najlepszym dowodem rzesze studentów, przybywające rokrocznie na nasze uniwersytety.

O wiele trudniejszą rzeczą jest propaganda w krajach o kulturze starszej i wyższej. Tam już nie można liczyć na siłę ciężkości. Tam nic się samo nie zrobi. Tam ludzie będą wiedzieli o nas tylko tyle dobrego, ile im potrafimy wbić w głowy — często wśród walki z błędnemi pojęciami, zdawna zakorzenionemi lub szerzonemi celowo przez naszych wrogów.

Szczególnie trudnym terenem jest Anglja. Stoi tu na przeszkodzie przedewszystkiem psychika kolonizatorów i zdobywców. Nie interesują ich kraje, położone poza obrębem imperjum — przecież nawet prawie nie słyszą o istnieniu krajów tych w szkołach. Nadto ulegają oni często dezorjentacji, szerzonej przez rozliczne, zwracające się przeciw nam czynniki.

W pamiętnikach Winstona Churchilla czytamy o rozmowie, jaka odbyła się między nim a Lloydem Georgem w dzień zawarcia zawieszenia broni w listopadzie r. 1918. Zastanawiali się nad przyszłością świata i przyszłą polityką Anglji, aby zgodnie dojść do przekonania, iż rzeczą jej jest podać rękę pokonanym. Ta myśl zaciążyła nad polityką Wielkiej Brytanji i jej stosunkiem do nas. Obecny rząd polski jest niewątpliwie na Downing Street lepiej widziany, niż był którykolwiek inny — widać to choćby z niesłychanej wstrzemięźliwości większej części prasy angielskiej wobec Brześcia. A przecie i dziś germanofilskie tendencje sfer decydujących ustawicznie wychodzą nam na szkodę, znajdują też silny odźwięk w społeczeństwie.

Wchodzą tu w grę i Żydzi, którzy posiadają ogromne wpływy i używają ich w imię swych planów co do Polski na naszą niekorzyść, działają zaś tem skuteczniej, że najczęściej nikt ich nie odróżnia od rdzennych Anglików.

Wreszcie nieżyczliwi są nam i bardzo liczni rosyjscy emigranci. Ci wciąż jeszcze marzą o przedwojennych granicach Rosji, a jeżeli nawet pod wpływem rzeczywistości przestali o nich marzyć, zachowali w duszach osad nienawiści ku nam.

W tych warunkach Anglja jest niezmiernie trudnym terenem propagandy a wyniki, dotąd osiągnięte, nadzwyczaj nikłe — tem bardziej, że w ostatnich latach akcja oficjalna zeszła na fałszywe tory. Zamiast brać sprawę z punktu widzenia naszej polityki zagranicznej, bierze się ją z punktu widzenia polityki wewnętrznej, to znaczy pracuje się nie na rzecz Polski, lecz na rzecz pewnego stronnictwa i pewnych ludzi. Że zaś nie jest to możliwe bez jaskrawego mijania się z prawdą i skandalicznych metod, rezultatem bywa często kompromitacja w rodzaju wywiadu z Bernardem Shaw.

Muszę się zresztą przyznać, że w propagandę polityczną wogóle nie wierzę. Prowadzi ją każdy, ale sfery decydujące czy też im bliskie kierują się w swych sądach interesem własnego kraju, czy też tem, co uważają za jego interes, ogół zaś pozostaje obojętny. Propaganda ekonomiczna ma wartość w kołach handlowych. Ale na społeczeństwo oddziałać może głównie propaganda kulturalna w szerokiem znaczeniu. Jej hasłem — szerzyć znajomość naszej historji, literatury, obyczajów, aby ustaliła się świadomość, że jesteśmy narodem w pełnem znaczeniu wyrazu, z tysiącletnią tradycją i własnem obliczem duchowem.

Głównem narzędziem tej działalności są dziś wykłady *Slavonic School*, stanowiącej autonomiczną część składową londyńskiego *King's College*. Przez lat parę prowadził je — o ile pozwalały obowiązki własnego uniwersytetu — krakowski profesor p. Roman Dyboski. Niewątpliwie energja jego i rzutkość nie pozostały bez skutków, a wyrobione stosunki, jakie posiada w Anglji, ułatwiały mu zadanie. Z tem wszystkiem prof. Dyboski jest nie znawcą polskiej literatury czy historji, lecz anglistą — i widać to po jego książkach, pisanych dla Anglików. Konieczną też jest ciągłość wykładów. Osiągnięto ją, gdy zaczęto wysyłać do *Slavonic School* polonistów. Przez parę lat prowadził pracę prof. Juljan Krzyżanowski—przy tej sposobności napisał dobrą angielską książkę o naszej literaturze romantycznej, — a gdy powołano go na katedrę do Rygi, następcą na londyńskiej placówce został p. Wacław Borowy, b. dyrektor warszawskiej bibljoteki uniwersyteckiej i urzędnik ministerjum W.R. i O.P., znany zresztą dobrze ze swych prac, poświęconych tak polonistyce jak obcym literaturom.

Przyznam się, że doznałem pewnej przykrości, gdy w programie *King's College* wyszukałem wykłady *Slavonic School* i przekonałem się, że dział polski przedstawia się pośród nich najskromniej. Przekonałem się jednak, że pozory mylą.Z programów, ogłaszanych przez inne działy, — t. j. inne narodowości, wiele pozostaje na papierze, ilość słuchaczy Anglików jest często minimalna, tymczasem przekonałem się, że p. Borowy, który objął swe stanowisko zeszłej jesieni, pracował systematycznie, że około niego kupiła się stale grupka studentów, pragnących naprawdę nabyć pewnej wiedzy w zakresie naszego języka i literatury, a osiągnięte rezultaty mają charakter realny.

Oceniły to władze *Slavonic School*, zapraszając p. Borowego do wygłoszenia publicznego odczytu w dzień 14 maja i wybierając na ten cel salę, której nazywa *Large Theatre* mówi za siebie. Zgodnie z angielskiemi zwyczajami uniwersyteckiemi, wykład taki odbywa się z pewną uroczystością i ma charakter posiedzenia naukowego. Byli więc obecni rektor *Slavonic School* Sir Bernard Pares i członek Rady zarządzadzającej lord Treoven, wysłużony jenerał, którego tytuł jest świadectwem położonych zasług, a który oddawna znany jest jako szczery przyjaciel Polski i niejedno zrobił dla niej w czasie wojny, współdziałając z Romanem Dmowskim.

Przybyło kilku literatów, interesujących się Polską m. i. Miss Gardner i Miss Kennedy. Z Polaków obecni byli: konsul generalny p. Komierowski, przedstawiciel ambasady i kilkanaście innych osób.

Zagaił Sir Bernard Pares, po nim przemówił gorąco lord Treoven, obejmując przewodnictwo.

Nadzwyczaj trafnie wybrał p. Borowy na temat wykładu „Pana Tadeusza“. Nad początkami naszego romantyzmu ciąży jego charakter wtórny w stosunku do literatury angielskiej i niemieckiej. Dalsze utwory okresu, zrodzone z bólu patrjotycznego, inaczej przemawiają do Polaka, niż do cudzoziemca. A już wszelki mistycyzm czy mesjanizm jest dla Anglika rzeczą zupełnie niezrozumiałą. Trzeba tedy było wybierać między jednym z mniej ważnych okresów naszego piśmiennictwa, względnie zarysem rozwoju któregoś z rodzajów literackich — a „Panem Tadeuszem“ jako utworem największej wartości i najpopularniejszym, a rdzennie polskim i roztaczającym szerokie malowidło naszej przeszłości. Był to wybór między abstrakcją a czemś konkretnem — i p. Borowy niewątpliwie słusznie rozstrzygnął go na rzecz konkretnego tematu.

Była jednak może i drugorzędna przyczyna, aktualnej natury. Dość niedawno ukazał się w *Everyman's Library* londyńskiego wydawcy Denta prozaiczny (ale tem wierniejszy) przekład „Pana Tadeusza“, pióra kalifornijskiego profesora Noyesa. Mógł więc p. Borowy liczyć na paru angielskich słuchaczy, znających już sam poemat, z drugiej zaś strony mógł żywić nadzieję, że niejednego skłoni do jego przeczytania.

Prelegent zaczął od scharakteryzowania epoki i podania najważniejszych faktów z życia Mickiewicza. Poświęciwszy parę zdań jego uprzedniej twórczości, przeszedł następnie poszczególne akcje poematu, tło historyczne i obyczajowe, opisy, wreszcie styl i obrazowanie. Bardzo szczęśliwie zestawił Mickiewicza z Dickensem. Wszakże przeciw pierwszemu podnosiły się po „Panu Tadeuszu“ zarzuty „wieprzowatości“, a i drugiego traktuje nieco podobnie przesiąknięta wstrętem do wszelkiego wiktorjanizmu ultramodernistyczna krytyka. Analogja musiała szczególnie dobrze przemówić do Anglików, atoli jest wogóle — o ile co do Mickiewicza weźmiemy pod uwagę tylko „Pana Tadeusza“ — uderzająca. Tu i tam wielka prostota, idąca w parze z dostosowaniem się do poziomu szerokich mas; tu i tam postaci, to przeważnie natury nieskomplikowane; tu i tam niewyczerpany humor; nawet w traktowaniu psychologji tłumu (u Dickensa przedewszystkiem w jego próbach historycznych t. j. „Powieści o dwóch miastach“ i „Barnabie Rudge“) możnaby znaleźć punkty styczne. Tu i tam, mimo przystępności pozornej i bezpretensjonalności, wysoki artyzm, idący w parze z wysoką etyką; tu i tam wreszcie stwierdza wielkość autora najbardziej nieomylny z sędziów, przeciętny czytelnik, nie analizujący, lecz powodujący się głównie reakcją uczuciową.

Wykład odznaczał się doskonałą angielszczyzną. Obecni słuchali go w napięciu i wynagrodzili burzą oklasków, a lord Treoven złożył prelegentowi gorące podziękowanie imieniem Rady zarządzającej.

Odczyt p. Borowego stanowi jedno z ogniw pożytecznej pracy, która wydała już pewne owoce. Oby rozwijała się pomyślnie w dalszym ciągu!

Londyn WŁADYSŁAW TARNAWSKI

MOZAJKA W SZKOLNICTWIE WILENSZCZYZNY

Teren Wileńskiego Okręgu Szkolnego, (t. zn. Wilno i województwa wileńskie i nowogródzkie), przedstawia jeden z najciekawszych przykładów mieszaniny językowej w szkolnictwie całej Rzeczypospolitej Polskiej, a nawet — kto wie — czy wogóle w Europie znalazłby się przykład podobnej mozajki językowej, jak w północno-wschodnim kącie Polski. Dość powiedzieć, że na terenie Okręgu Szkolnego Wileńskiego w chwili obecnej nauczanie w szkołach odbywa się aż w 8 językach, t. zn. w języku polskim, litewskim, białoruskim, rosyjskim, hebrajskim, żydowskim żargonie, niemieckim i francuskim, a jeśli nawet odrzucimy dwa z nich, mianowicie niemiecki i francuski, które reprezentowane są tylko jedną szkołą każdy i mają charakter raczej przypadkowy, gdyż nie są oparte o większe grupy ludności, traktujące niemczyznę lub francuzczyznę jako język ojczysty, to i tak pozostanie jeszcze 6 języków nauczania, reprezentowanych każdy nie jedną, a szeregiem szkół, i to nietylko w samem Wilnie, ale i w innych punktach województw wileńskiego i nowogródzkiego.

Możnaby mniemać, że ta mieszanina językowa jest skutkiem niesłychanej różnorodności mieszkańców i że 8-iu względnie 6-iu językom szkoły odpowiada tyleż języków miejscowej ludności. Tak jednak nie jest. Zarówno województwo wileńskie, posiadające 57,5% ludności polskiej, jak województwo nowogródzkie o 54% Polaków, są w większości polskie, a pozatem poważny odsetek stanowią tylko Białorusini. Wszystkie inne narodowości są tu mniej więcej tak samo liczne, jak w innych częściach

Polski, z wyjątkiem może Litwinów w pow. wileńsko-trockim i święciańskim.

Różnojęzyczność szkolna wynika raczej z innych względów, głównie historycznych, ponieważ odradzające się narody litewski i białoruski, z powodów politycznych i historycznych, traktują Wilno jako główny swój ośrodek kulturalny, a Żydzi, dla których Wilno jest również miastem wiekowych tradycyj, tu właśnie chcieliby stworzyć swój Piemont, skąd pewne zdobycze narodowo-kulturalne promieniowałyby na inne części Polski, oraz ośrodki żydowstwa w innych krajach.

Tak czy owak współczesna mozajka językowa w szkołach Wileńszczyzny jest bardzo niedawnego pochodzenia.

Za czasów zaboru rosyjskiego, po roku 1863 istniały w Wileńszczyźnie tylko szkoły z językiem wykładowym rosyjskim oraz liczebnie szczupłe tajne szkolnictwo polskie.

Przewrót w tym stanie rzeczy sprowadziła Wielka Wojna. Kiedy jesienią r. 1915 wojska rosyjskie opuściły Wilno, odwróciła się zarazem wielka karta dziejów szkoły w całym kraju. Władze okupacyjne niemieckie nie poświęcały wiele uwagi sprawom szkolnym. Narzuciły one wprawdzie wszystkim szkołom obowiązek uczenia języka niemieckiego i to od najniższych stopni nauczania, natomiast językiem wykładowym szkół bliżej się nie interesowały.

W tym właśnie momencie zaczyna się odrazu rozkwit szkolnictwa polskiego pod egidą Komitetu Edukacyjnego, a za przykładem społeczeństwa polskiego poszły różne grupy narodowościowe, reprezentowane w Wilnie i zaczęły również organizować własne szkolnictwo. Naturalnie organizacja ta natrafiała na bardzo znaczne trudności, gdyż w większości wypadków były to faktycznie pierwociny pracy szkolnej, pierwsze na kuli ziemskiej szkoły odnośnych typów, a więc np. gimnazja, w języku litewskim, białoruskim, żargonie, czy hebrajskim. Brak było zarówno programów, podręczników, pomocy naukowych, nauczycieli, jak wreszcie tradycji. Trzeba było stwarzać wszystko od początku do końca. Nic więc dziwnego, że niezależnie od osiągniętych wyników wszystkie wchodzące tu w grę narodowości bardzo sobie cenią zdobycze tego okresu i gorliwie zabiegają o utrzymanie stworzonego stanu posiadania.

W artykule niniejszym nie będę poruszał stosunków panujących w szkolnictwie polskiem, gdyż jest to temat stosunkowo lepiej znany. Omówię pokrótce natomiast szkolnictwo w językach innych.

Bardzo szybkiej likwidacji uległo szkolnictwo r o s y j s k i e. Ze stanowiska panującego i uprzywilejowanego szkoła rosyjska spadła po wyjściu wojsk rosyjskich odrazu na miejsce ostatnie. Dowodzi to tylko, jak powierzchowne wyniki osiągnęła wieloletnia uporczywa rusyfikacja kraju. Wystarczyło dosłownie kilku dni pamiętnej jesieni 1915 r., aby wyemigrowała z Wilna cała armja nauczycieli rusyfikatorów i by nie zostało prawie nic z potężnego gmachu urzędowej szkoły rosyjskiej. Jedni Żydzi ulegli rusyfikacji głębszej i wykazali niejakie do szkoły rosyjskiej przywiązanie; to też już po traktacie brzeskim na czas krótki wróciła do Wilna prywatna szkoła rosyjska, do której gromadnie podążyli uczniowie Żydzi i dopiero po kilku latach szkoły te uległy likwidacji, częściowo zaś przekształciły się na zakłady z językiem wykładowym polskim.

Obecnie szkoła rosyjska w Wileńszczyźnie ograniczona została do właściwego zakresu, t. zn. do obsłużenia nielicznych emigrantów Rosjan, zamieszkałych na terenie dwóch omawianych województw. Istnieją więc w Wilnie dwie rosyjskie szkoły powszechne (jedna z nich skupia dziatwę t. zw. staroobrzędowców) oraz dwa gimnazja: jedno żeńskie, drugie męskie. Istniejące jeszcze do niedawna w Wilnie Rosyjskie Prawosławne Seminarjum Duchowne, na mocy porozumienia pomiędzy Rządem Polskim, a Metropolitą Kościoła Prawosławnego w Polsce, zostało upaństwowione i jest obecnie zakładem z językiem wykładowym polskim.

Szkolnictwo b i a ł o r u s k i e w ciągu 15 lat swego istnienia przechodziło kilka faz. Władze niemieckie, które zajmowały Wilno, nie miały jeszcze określonej w stosunku do ludności polityki i traktowały cały kraj przedewszystkiem jako polski; kiedy w Berlinie ustalono, że Wilno nie wejdzie do projektowanego Królestwa Polskiego, a zorjentowano się, że na żywiole litewskim, jako bardzo nielicznym, nie będzie można się oprzeć, władze niemieckie zaczęły wyszukiwać i popierać Białorusinów. Wówczas zaczęło się także rozwijać i szkolnictwo białoruskie.

Kulminacyjny punkt swego rozwoju osiągnęła szkoła białoruska za czasów Litwy Środkowej, kiedy przy ówczesnym Departamencie Oświaty powstał Wydział Szkolnictwa białoruskiego. Wówczas Wileńszczyzna posiadała około 200 szkół powszechnych białoruskich i seminarjum nauczycielskie w Borunach. Szkoły te zresztą przeważnie symulowały tylko charakter białoruski i z ducha były raczej rosyjskie. Powstały także gimnazja białoruskie w Wilnie i Dokszycach.

Po wcieleniu Wileńszczyzny do Rzeczypospolitej Polskiej stosunki szkolnictwa obcojęzycznego reguluje specjalna ustawa, t. zw. ustawa Grabskiego, która określa wolę rodziców jako warunek niezbędny dla powstania szkoły obcojęzycznej. W związku z tem ilość szkół białoruskich znacznie się zmniejszyła i wynosi obecnie na obszarze dwóch województw 23 publiczne i 3 prywatne. Pozatem istnieje 40 szkół dwujęzycznych, t. zn. takich, gdzie nauczanie części przedmiotów odbywa się po polsku, a części po białorusku, zgodnie z ustawą przed chwilą wspomnianą.

Co się tyczy seminarjum nauczycielskiego dla Białorusinów, to wspomniane seminarjum w Borunach zostało zlikwidowane i przez szereg lat seminarjum białoruskiego nie było wcale. Obecnie od jesieni b. r. istnieje w Wilnie Państwowe Seminarjum Nauczycielskie im. Fr. Bohuszewicza, z językiem wykładowym częściowo polskim, częściowo białoruskim, narazie z jedną klasą.

Gimnazja białoruskie przechodziły różne koleje losu. Gimnazjum w Dokszycach zostało zlikwidowane, otwarto dalej gimnazjum w Radoszkowiczach, również obecnie zlikwidowane. Obecnie funkcjonują trzy gimnazja białoruskie: w Wilnie, Nowogródku i Klecku. Gimnazjum nowogródzkie miało początkowo charakter raczej rosyjski, później dopiero się zbiałoruszczyło.

Gimnazja w Wilnie i Nowogródku korzystają z zapomóg państwowych.

Przejdźmy z kolei do szkolnictwa l i t e w s k i e g o. Zapoczątkowane w r. 1915 cieszyło się ono także poparciem władz okupacyjnych niemieckich. Walczyło jednak z ogromnemi trudnościami, podobnie jak białoruskie, nie mając ani ludzi, ani

literatury, ani innych środków i również nie zdołało się wznieść na poziom poprawności, odpowiadającej współczesnym wymaganiom pedagogicznym.

W chwili obecnej szkolnictwo litewskie skupia się w Wilnie i powiatach wileńsko-trockim, oraz święciańskim, t. zn. tam, gdzie odsetek ludności litewskiej jest najznaczniejszy i wynosi od 1% do 7%. Szkół litewskich powszechnych istnieje obecnie w okręgu wileńskim 90, z czego 20 publicznych, a 70 prywatnych, prowadzonych przez dwa towarzystwa p. n. „Rytas". Jedno z tych towarzystw ma siedzibę w Wilnie, drugie zaś w Święcianach.

Ponadto funkcjonuje w wileńskim okręgu szkolnym 40 szkół utrakwistycznych polsko-litewskich, t. zn. takich, gdzie pewna ilość przedmiotów prowadzona jest w języku litewskim, a reszta po polsku. Litwini prowadzili także przez lat kilka seminarjum nauczycielskie w Wilnie, od dwóch lat jednak został ten zakład zlikwidowany.

Szkół średnich w Polsce mają Litwini dwie, mianowicie gimnazjum im. Witolda Wielkiego w Wilnie, oraz gimnazjum w Święcianach; to ostatnie jest niepełne, gdyż liczy tylko sześć klas.

(Dok. nast.) ZYGMUNT FEDOROWICZ

NAUKA I LITERATURA

TEOFRAST RENAUDOT, „OJCIEC" FRANCUSKIEGO DZIENNIKARSTWA

PRZED wielkim gmachem pałacu sprawiedliwości w Paryżu wznosi się pomnik, przedstawiający mężczyznę w kostjumie z XVII-go wieku w zamyślonej podstawie: jest nim Teofrast Renaudot, ojciec francuskiego dziennikarstwa. Lat temu bowiem 300 założył on pierwszą drukowaną gazetę, wychodzącą p. t. „*Gazette de France*".

Renaudot urodził się w Loudon obok Tours w 1586 r. Odbywa studja w Montpellier, skąd wychodzi doktorem medycyny. Od tej chwili datuje jego ogromna działalność, rozciągająca się na najrozmaitsze dziedziny życia. Aż wreszcie w miesiącu maju 1631 r. specjalne afisze zwiastują mieszkańcom stolicy, iż niebawem ukaże się dla ich rozrywki i informacji pierwszy numer „Gazety". Drukarnia jej została zainstalowana w Maison du Coq, znajdującym się przy quai du Marché Neuf, na którym dzisiaj wmurowana jest marmurowa tablica z napisem, uwieczniającym to wiekopomne zdarzenie.

Pierwszy zaraz numer „*Gazette de France*" zawierał przedewszystkiem wiadomości z zagranicy. Składały się nań stronice, niezaopatrzone żadnym podpisem, nie posiadające nawet adresu. „Gazeta" jednak Renaudot'a modernizuje się niezmiernie szybko. Podaje bowiem w swych następnych numerach coraz liczniejsze zdarzenia z Francji, powiększa swój format, dzieląc się na dwie odrębne części.

Pierwsza z nich zachowuje miano „*Gazette*" i obejmuje działy polityczno-literacko-artystyczne, podczas kiedy druga, poświęcona informacjom zagranicznym, wychodzi pod nazwą „*Nouvelles*".

Renaudot cieszy się przyjaźnią Richelieu i Mazarin'a, którzy stają się nietylko inspiratorami, ale często nawet współpracownikami „Gazety". Interesuje się nią i Ludwik XIII. Nie uszła bowiem ich uwadze, już w owej epoce, potęga drukowanych informacyj, którym, zależnie od okoliczności, można było nadawać bardziej lub mniej tendencyjny charakter, jednem słowem „wpływać" na opinję.

Pomysłowość Renaudot'a nie ogranicza się tylko do wydawnictwa dziennika. Otwiera on bowiem w nim później specjalną stronę ogłoszeniową, będącą właściwie reklamą dla lekarstw, jakie można było u niego dostać. W ten sposób od razu nadał swemu organowi charakter dziennika — poprostu w jego dzisiejszej niemal koncepcji.

Renaudot pozatem stwarza pierwsze „Biuro adresów", będące właściwie biurem pośrednictwa pracy; z jego inicjatywy zostaje założony „*Hôtel des ventes*" czyli sprzedaż okazyjna i „*Mont de Piété*" — czyli dom zastawny. Dzięki jego staraniom zostały również wprowadzone w życie pierwsze odczyty naukowe w Paryżu.

Renaudot bowiem w swej ogromnej działalności nie traci nigdy z oczu potrzeb biedniejszej ludności. Dla niej to filantrop ten zakłada właśnie powyższe instytucje, jakie zwał „niewinnemi pomysłami". Bogactwo ich nie zasilało jednak kasy prywatnej „ojca dziennikarstwa". Umarł on biedny. Może jednak cieszyć się tem pięknem mianem, jakiem zaszczycił go Ludwik XIII, kiedy nazwał Renaudot'a „*commissaire général des pauvres du royaume*".

Gdy się pomyśli, do jakiej potęgi doszła dzisiaj prasa, to nikt się nie zdziwi, że 300-lecie założenia „*Gazette de France*" zostało uroczyście i oficjalnie obchodzone w Loudon, rodzinnem mieście Renaudot'a. Pozatem zaś skromniejsze ceremonje odbyły się w Paryżu, przy jego pomniku właśnie. Zostały one zaś zorganizowane przez samych dziennikarzy, którzy zresztą utworzyli, kilka lat temu, specjalne *jury* dla nadawania „nagrody Théophraste Renaudot". Przyznawana ona zostaje raz do roku utworowi literackiemu czy też publicystycznemu, ale jest wyłącznie honorową.

Dzisiejsze bowiem zastępy dziennikarzy, wierne pod tym względem przykładowi, danemu przez ich pradziada po fachu, jeżeli nie są, podobnie jak Renaudot filantropami, to jednak również nie są krezusami. Pocieszają się może nadzieją, iż „*le journalisme mène à tout, à condition d'en... sortir!*"

Paryż I. BRIARES

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności ukazało się pełne wydanie utworów i listów pierwszego wybitnego poety polskiego, Klemensa Janickiego. Zbiór ten, noszący nazwę „*Clementis Ianicii, poetae laureati Carmina*", przygotował do druku i obszerną przedmowę (w pięknej łacinie) opatrzył nestor polskiej filologji, Ludwik Ćwikliński. Uczony ten, rodem Wielkopolanin, czuł zdawna dla Janickiego regjonalną niejako sympatję, której dał silne dowody w szeregu prac, rzucających nowe światło na studja padewskie poety, na laur poetycki, dany mu przez akademję padewską (nie przez papieża, jak podają niektórzy autorowie podręczników, mieszający Janickiego z Sarbiewskim), na stosunek jego do Kmity oraz na sprawę nadanego mu probostwa. Walnie dopomogły Ćwiklińskiemu i prace innych uczonych, zwłaszcza Windakiewicza, Kota i ks. Miaskowskiego. niewyjaśnione zostały tylko dwie sprawy: kim była owa Elsula (Elżunia), w której kochał się poeta, oraz gdzie Janicki życie zakończył: w Krakowie czy Gołaczowie. Ze szczegółów życia Janickiego nieznanym i dość ważnym jest jego stosunek do Stanisława Orzechowskiego, który za życia poety występował jako surowy jego krytyk, a po jego śmierci elegją Janickiego ozdobił swoje dzieło przeciw Turkom skierowane. Teksty utworów przygotowane są nadzwyczaj starannie i opatrzone licznemi komentarzami łacińskiemi, przeznaczonemi głównie dla cudzoziemców. Bowiem książka ta, świadcząca o dawności i zacności kultury polskiej, może mieć wielkie znaczenie dla naszej propagandy zagranicą. (J. B.)

*

Staraniem i nakładem Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, z zasiłku Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. wydano w Gdańsku antologję utworów prozy i poezji różnych pisarzy polskich p. t. „Morze polskie i Pomorze w pieśni" w układzie i z przedmową Dr. Władysława Pniewskiego. Dawność związku Polski z Gdańskiem zaakcentowana została w książce doborem utworów od Kochanowskiego do utworów poetów dzisiejszej doby. Antologja ułożona jest według tematów, Przeszłość — Legendy, Krajobraz pomorski, Wieś i lud, Miasta i porty, Krajobraz morski i nadmorski, Żegluga i marynarka, Ojczyzna, Miłość, Przyjaźń i Refleksje. Zbiór przejawia bardzo rozległe, od wieków, bogactwo zainteresowań polskich morzem. Zawiera urywki z poematu ła-

cińskiego Dantyszka, w przekładzie Wł. Syrokomli, urywki „Flisa" Klonowicza, Kochanowskiego „Proporzec albo hołd pruski", Wacława Potockiego „Na Gdańszczany" z jego „Ogrodu fraszek". Dalej J. I. Kraszewskiego „Bałtyk", aż do utworów Gomulickiego, Deotymy, Faleńskiego, Konopnickiej, Niemojewskiego Andrzeja, Kasprowicza, Żeromskiego, Maryli Wolskiej, Or-Ota, Makuszyńskiego, Ligockiego, Janusza Kaweckiego, Radosława Krajewskiego, Dębickiego, Obrzuda, Zbierzchowskiego. Prócz tych utwory poetów mniej znanych, między którymi wyróżniają się korzystnie wiersze Marjusza Zaruskiego „Chór uczniów morskich w Tczewie" i „Chór marynarzy". Książka „Morze polskie i Pomorze w pieśni", wydana jest ozdobnie i starannie pod względem drukarskim. W przypiskach podane są trafne komenatrze słownictwa, gwary i obyczajów kaszubskich. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Utalentowany pisarz francuski, André Bellessort, autor prac o Balzac'u, W. Hugo, Sainte-Beuve'ie, Wirgiljuszu i w. innych, wydał świeżo dużej wartości książkę p. t. *„Les intelectuels et l'avènement de la troisième République"* (B. Grasset, Str. 255), w której zajmuje się stosunkiem wybitniejszych pisarzy z drugiej połowy XIX wieku do ustroju państwowego Francji, ustalonego po klęskach 1870 r.

Autor poznaje czytelnika z poglądami wielu znakomitych myślicieli, publicystów, historyków tych czasów (Renan, Gobineau, Fustel de Coulanges, H. Taine, Veuillot, Flaubert i t. p.) na ustrój republikański Francji. Wszyscy oni, jak wynika z przedstawienia rzeczy przez autora, nie mogli się pogodzić z formą rządu, która wydawała się im przeciwną naturze oraz interesom narodu francuskiego, nie mieli wiary w Republikę.

Tymczasem, robi uwagę autor, trwa ona już sześćdziesiąt lat. Znaczy to, że utrwaliła się ona wbrew temu, co myśleli o niej niezaprzeczeni przedstawiciele inteligencji francuskiej. Czegoż chcieli oni? Dwaj z nich, Veuillot i Renan, wypowiedzieli się wyraźnie za monarchją; inni uważali ją za możliwą jedynie pod postacią rèspubliki z dziedzicznym prezydentem. Zgodziliby się na monarchję w innej formie, gdyż przedewszystkiem obawiali się demokracji; jednakże w równej mierze obawiali się klerykalizmu. Pod tym względem podzielali opinję, najbardziej rozpowszechnioną podówczas we Francji. Godzili się z rezygnacją na Respublikę konserwatywną. Ich nieuleczalną słabością było, iż nie mieli żadnego programu. Wszyscy oni zgodni byli w jednem, mianowicie że Rewolucja była największym błędem Francji, z którego wynikało wszelkie zło, nie wiedzieli jednak, jak na nie zaradzić. Ich projekty konstytucji były pomysłami ludzi, nie posiadających doświadczenia politycznego. W żadnej epoce — twierdzi autor — intelektualiści nie mieli większej świadomości złych stron rządu, który się ustalał, a zarazem nigdy tak nie byli mało przygotowani do zwalczania go. Świadomość uwzględnionych w książce intelektualistów francuskich pod jednym względem wypowiada się zawsze stanowczo i niedwuznacznie, a to mianowicie, że w ustroju republikańskim idea ojczyzny coraz bardziej schodzi na plan ostatni w programach sfer rządzących, i wyciągana bywa wówczas na światło dzienne, gdy krajowi zagraża obcy najazd. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z PEWNĄ obawą biorę pióro do ręki, aby pisać o fotografice, z racji jej Salonu międzynarodowego, zorganizowanego przez nasze towarzystwo fotograficzne. Z obawą, gdyż na łamach „Myśli" toczył się swego czasu spór w tej materji, dysputa, która urosła jak olbrzymia lawina śnieżna z małej grudki jednego artykułu. Był to spór naukowy, należący — według zdania jednego z dysputujących — do zakresu filozofji sztuki, a ponieważ rozmawiający najbardziej chyba byli powołani do wygłoszenia szeregu poglądów głębokich i trafnych, nic tu po mnie. Nie będąc naukowcem, ani specjalistą, mógłbym powiedzieć coś o fotografice wyłącznie z dostępnego dla mnie punktu widzenia, to znaczy — artystycznego. Nie wdając się więc w dociekania, czy fotografika jest sztuką, czy nie, opowiem poprostu o swoich wrażeniach przy zwiedzaniu wystawy i o wnioskach, jakie stąd wyciągnąłem.

„Wystawione eksponaty posiadają, pod pewnym względem, tak zdecydowanie wspólny charakter, że ich omówienie ogólne wydaje mi się najstosowniejsze. A więc przedewszystkiem trzeba stwierdzić wysoki poziom techniczny, (tu powinni zabrać głos fachowcy), oraz zaletę, którą najlepiej będzie określić mianem dobrego smaku. To dużo, to jednak nie wszystko. Należy mieć cały szereg zastrzeżeń co do sposobu uprawiania przez fotografików swej umiejętności, przy traktowaniu jej jako sztuki. Nie rozumiem, dlaczego fotografika ma naśladować malarstwo i techniki jemu pokrewne, kiedy z założenia swego jest zupełnie czemś innem, ma pewne ograniczenia nieistniejące w malarstwie, zato rozporządza całkiem odmiennemi możliwościami. Każda technika posiada wady i zalety; racjonalnie pojęta powinna iść w kierunku najszerszego wyzyskania zalet-możliwości. Gwałceniem techniki nazwiemy zaś zmuszanie tworzywa do dawania efektów, niezgodnych z jego właściwościami. Na dobitek fotografika, popełniając ten błąd, jest w nim niekonsekwentna (mówię tylko o tem, co widziałem na wystawie): naśladując malarstwo, niechby już była w zgodzie ze współczesnością, tymczasem ona tonie w objęciach impresjonizmu. Ulubionym chwytem i nadużywanym są zdjęcia zamglone, o konturach miękkich, lub zamazanych. Widocznie obawiano się, aby zdjęcie fotograficzne, ze swoją objektywną drobiazgowością, nie przypominało protokułu policyjnego. Lecz obok drobiazgowości protokularnej istnieje przecież i artystyczna!

Naśladuje się tu nietylko malarskie sposoby ujęcia odtwarzanego tematu, ale i techniki malarskie, lub rysownicze. Widzimy zdjęcia wykonane *à la* rysunek tuszem, kredką i t. d. Ambicją autora takiej pracy było zapewne do złudzenia zimitować np. kredkę i gdyby kto wziął takie zdjęcie za rysunek kredkowy, fotografik uważałby to za swój trjumf. Czy to jest racjonalne traktowanie techniki, która ma ambicję istnienia jako odrębna gałąź sztuki? Wydaje mi się, że nie. Skoro się jednak postawiło zarzut, trzeba go uzasadnić. Otóż między procesem powstawania obrazu i fotografji t. zw. artystycznej istnieje różnica odwrotności. Na pustej płaszczyźnie artysta umieszcza swój obraz, powstaje on przez dodawanie kreski do kreski, kształtu, barwy, czem więcej jest na obrazie, tem praca nad nim jest dłuższa. Fotografik dzięki aparatowi otrzymuje obraz gotowy, ze wszystkiemi szczegółami, aby uczynić go artystycznym (w jego mniemaniu) ujmuje szczegóły zbyteczne, lub przeinacza pewne fragmenty zapomocą dostępnych mu środków. co jest swego rodzaju ujmowaniem kształtów już istniejących.

Trudno przypuścić, aby fotograficy nie zdawali sobie sprawy z odwrotności obu procesów twórczych, rzadko jednak w ich pracach widać, żeby umieli wyciągnąć wniosek stąd konsekwentny.

Tak tedy wyrazistość obrazu jest jedną z szerokich i niewyzyskanych dostatecznie możliwości fotografiki, wyrazistość, której nigdy nie osiągnie w takim stopniu malarz, nawet drogą największego mozołu fizycznego. Wizja artysty nieraz z trudem ducha staje się ciałem, najbardziej fantastyczna wizja fotografika jest zawsze tylko zatuszowaną rzeczywistością. Niech więc fotograficy ukazują nam rzeczywistość, której uchwycić oko malarza nie może, niech ją ukażą z siłą wyrazistości i straszliwem nieubłaganiem prawdy, a wzbogacą i rozszerzą nasz świat widzialny i dostarczą nam wzruszeń, których dotychczas malarstwo nie dało.

Sposób ukazywania wiąże się z objektem ukazywanym i tu musimy powiedzieć, że wystawa fotografiki wykazuje ogromne ubóstwo tematów i przeraźliwy brak pomysłowości. Rozkochana w jakimś tanim estetyzmie, lubuje się w malowniczych pejzażykach (połowa ze śniegiem), nastrojowych architekturach, głowach, główkach, poetycznie upozowanych aktach. Do jakiego stopnia stare nałogi ciążą, dowód da następujący drobny przykład: zbliżam się do jakiejś fotografji i widzę wnętrze jakby kościoła; przez półokrągłe okno mży światło, kilka drobnych figurek ludzkich zastygło w bezruchu. Patrzę do katalogu: dworzec. Przyglądam się bliżej, rzeczywiście dworzec. A niechże cię! Raz mu się zdarzyło wpaść na dobry temat, no i co zeń zrobił? Z dworca, świątyni ruchu, gdzie trzeba było podkreślać właśnie dynamikę ruchu — nastrojowe wnętrze, jak u św. Marka w Wenecji.

Fotografika zdaje się nie dostrzegać współczesności. Sama będąc techniką, jakby stworzona do opiewania technik innych, w dobie ich największego rozkwitu, nie mówi nic o życiu wielkich miast, o pracy ludzkiej, o rytmie maszyn, wynalazkach, świecie widzianym przez mikroskop uczonego, zjawiskach przelotnych, których nikt inny zanotować nie może, i wielu, wielu rzeczach. Któż bardziej od niej jest powołany do chwytania ruchu (na wystawie zauważyłem jedną fotografję sportową), kto tak potrafi przez wyrazistość plastyczności podnieść szczegół jakiś, lub nikły fragment, do rangi rzeczy ważniejszych?

Oto drobna tylko połać terenu, na który powinni wyruszyć panowie fotograficy. Wiem, że niektórzy to robią, ale prace ich na obecnej wystawie można policzyć na palcach. (W. P.)

*

U Garlińskiego wystąpił z pokazem swych prac Zdzisław Czermański. Ze względu na poziom wystawy, obszerniejsze jej omówienie odkładam do następnego numeru. (W. P.)

OFENSYWA

HISTORYK Z „PRZEŁOMU"

JEST teraz jakaś przelotna moda na czytanie w sferach dziennikarskich tego „Przełomu". Skąd się wzięła i gdzie przyczyny, niewiadomo, bo ani tam czegoś świeżego myślowo nie znajdziesz, ani jakiejś mocnej, nowej ideologji, ani jakiejś zdecydowanej odwagi cywilnej, ani talentów pisarskich czy stylistów, ani to się skupiło koło jakiegoś nowego autorytetu, ani wyraźnie i wybitnie przeciw jakiemuś autorytetowi, ani jakiejś istotnej frondy i przeciwstawiania się czemuś.

Nie istotnego i fundamentalnego, nic przyszłościowego, a tylko sam passeizm, wzdychania za „złotym wiekiem", kiedy to żył jakiś jasny rycerz Parçeval, a koło niego garść paladynów czystych jak łza, Katonów od czuba aż do pięty. poprostu „świętych młodzianków". Teraz tego Parsifala otoczyły chwilowo złe duchy, takie Arymany, Lewiatany, Prystorjany, ale on sam jest wskroś Ormuzdowaty.

W „Przełomie" znaleźli się niby ci, co przechowują „świętego Graala", czy też strzegą wieczystego Znicza. Da Bóg (oczywiście Bezosobisty), to przyjdzie dzień, w którym Parsifal przepędzi od siebie Arymanów i Lewiatanów za siódmą rzekę i siódmą górę i wezwie do siebie z powrotem rycerzy bez zmazy i skazy, w białych opończach, z płomienistemi mieczami w dłoniach. Na jego „zew" stawi się „mocarny huf" Nieprzejednanych i zasiądzie koło okrągłego stołu. A będą to panowie Szurig i Srocki, Maliniak i Lutman, Kierzkowski i Leinwandhaendler i jeszcze wielu innych, także bezrobotnych, przedwczesnych emerytów, a więc nieco zgorzkniałych, żołądkujących się i skwaszonych, ale każdej chwili gotowych do rozpogodzenia swych oblicz, o ile zostaną wezwani, wybrani, wysłuchani, a program ich kanapki partyjnej akceptowany. „Rozchodzi" się tylko o kilka maleńkich drobnostek: zerwanie konkordatu z Rzymem, laicyzacja społeczeństwa, wywłaszczenie bez odszkodowania, konfiskata dóbr duchownych, zniesienie senatu, autonomja dla mniejszości narodowych, noc świętego Bartłomieja dla N. D., Ch. D., N. P. R., Piasta i t. p., likwidacja „rewolucji bez konsekwencji", wprowadzenie konsekwencji, wogole „wzniesienie chorągwi buntu jeszcze wyżej", no i wreszcie walka, walka, walka.

Niektórzy lubownicy „Przełomu" czytają go wyłącznie z nożyczkami, ażeby wykrawywać zeń cytaty, mające stwierdzić „rozłam", „rozpadanie się" i „oto, co o was mówią wasi własni, rodzeni ludzie". Inni znowu doszukują się w grupie „Przełomu" stuprocentowego idealizmu, Platonicznego idealizmu, wiernej służby li tylko czystej, nieskażonej ideologji. W przystępie rozczulenia mówi się nawet: „ci platonicy rehabilitują kult Jedynego"... Mają tego dowodzić: ich bezinteresowność, ich „żar wewnętrzny" oraz niezłomność ich zasad i wierzeń. Rzekomo z jednego kruszcu są, jednowymiarowi monolici.

Otóż tak pięknie nie jest na tym najpiękniejszym ze światów. Właśnie są plamki i na tych księżycach. Są tam tacy, co to i nie z jednego pieca, mimo młodocianego wieku, chleb już jedli i na niejednej platformie na arenę już wyjeżdżali.

Taki np. p. Maliniak, uczony na „niepowszednią" miarę: jurysta, konstytucjonalista. Podczas wojny pracował z zaparciem się siebie i swoich dla Rady Stanu (Rada Stanu przy generał-gubernatorze Beselerze), instytucji raczej konserwatywnej z ducha. W r. 1918 widzimy go nadspodziewanie przy Rządzie Lubelskim, jak wiadomo czerwonym, aż do skrajnej zieloności. W roku zaś 1930 dzielny uczony okazuje się namiętnym faszystą, solidarystą, fordystą itp. i w tym charakterze gotów jest bronić i broni najgrubszych ekscesów i kolizyj, już nietylko z praworządnością, ale z cywilizacją, z kulturą, z chrześcijaństwem.

Albo przykład jeszcze świeższy:

Historyk dr. Lutman, w związku z dziesięcioleciem powstania III-go górnośląskiego, zamieszcza w „Przełomie" cokolwiek jakby obstalowane "studjum" historyczne o tem powstaniu, pełne rewerencyj dla takich „bohaterów" i wodzów jak: Mielżyński, Borelowski, Witczak, Kurzydło, Nowina-Doliwa, Grzesik, Przedpełski, i t. p., równocześnie odsądzając Korfantego od czci i wiary, rolę jego dziejową zmniejszając do *minimum*, odmawiając mu wszelkiej inicjatywy, insynuując ugodowość, brak odwagi i energji, defetyzm, popsucie całego rozpędu wojennego i t. p. Tak pisze historyk z „Przełomu" w maju r. 1931, co potem przedrukowują pośpiesznie „Polska Zbrojna" i „Polska Zachodnia", jako że niby naoczny przecież świadek, w powstaniu partycypował, więc zbliska mógł się przekonać, jakim to karłem jest Korfanty wobec giganta Kurzydły lub Bayarda Mielżyńskiego.

A jak pisał na ten temat tenże sam historyk z grupy „Przełomu", tenże sam dr. Lutman w r. 1922? („U zachodnich granic Polski". Nakład Ossolineum):

„Należy podkreślić, że polska organizacja plebiscytowa stanęła zgodnie do walki z organizacją pruską. Zasługa to wyłącznie kierownika całej tej akcji, komisarza plebiscytowego, Wojciecha Korfantego. Rodowity Górnoślązak, syn robotnika — zahartowany w trzydziestoletniej prawie walce o polskość — przeniknął on do gruntu metody pruskie i umiał organizację postawić na takim poziomie, że pod wieloma względami przewyższała ona organizację niemiecką. Ta sprawność i wyższość organizacyjna przyczyniła się do tego sukcesu, jaki odnieśliśmy w plebiscycie. Inne plebiscyty wszak przegraliśmy wskutek nieumiejętności ich zorganizowania. Plebiscyt górnośląski był jedynym racjonalnie zorganizowanym. Na tem opierała się cała olbrzymia zasługa Wojciecha Korfantego. Był to zresztą jedyny człowiek z pośród Górnoślązaków, który dorósł do tego zadania. Dyktatura jego w okresie walki plebiscytowej, na którą z wielu stron sarkano, była jednak w tych warunkach konieczną. Należy przyznać, że jakkolwiek Korfanty nie może uchodzić za człowieka bezpartyjnego, umiał on w czasie plebiscytu stanąć ponad partjami i skupić koło swej osoby wszystkie elementy narodowe na Górnym Śląsku. Sam niezmordowany pracownik, nie wahał się nigdy przed jakimkolwiek krokiem, który do celu prowadził. Ta właśnie szybkość decyzji i dobra wola była podziwu godna ze względu na wielką rzadkość, jaką jest ona w naszem społeczeństwie...

Pozostawały (po głosowaniu) dwie drogi do wyboru: albo strajk generalny, jako manifestacja przeciw krzywdzącym projektom angielskim, albo powstanie, poprzedzone strajkiem. Wybuchło powstanie dzięki stanowisku Korfantego. Wybór pomiędzy dwiema drogami: manifestacyjnym strajkiem generalnym i powstaniem zależał od Korfantego, zarówno ze względu na jego wpływ i że decyzja w jego spoczywała ręku... I to jest nową, bezsprzeczne wielką zasługą Korfantego, że miał odwagę wziąć na siebie odpowiedzialność za powstanie. Bez niego ruch zbrojny możeby się nie odbył lub poszedł innemi drogami".

Tak pisał 9 lat temu, dr. Lutman, świeżo po powstaniu, kiedy Korfanty był autorytetem i potentatem w Warszawie, kiedy w Belwederze bywał, *per* „pan" bez intytulacji po demokratycznemu swobodnie gwarzył, ciężkiego konfliktu jeszcze nie było, a funduszami dysponowali raz ci, raz tamci, nie tylko z *kaznaczejstwa*...

Wtedy dr. Lutman historyk z grupy „Przełomu" poprostu padał plackiem. Wtedy pisywał o Korfantym w tym duchu i w tym sensie, jak St. Srokowski w swym „Pamiętniku", jak dr. Lubieniec Rostworowski (*chef* sztabu Nowiny) w swym „Pamiętniku", lub jak np. taki „Kurjerek Krakowski Illustrowany" (16 maja 1921):

„Duszą i mózgiem całej organizacji jest komisarz Korfanty, dziecko tej ziemi, potężny szermierz, zahartowany dwudziestoletnią walką, człowiek, którego Niemcy nam zazdroszczą i naśladują jak mogą, a za którym lud górnośląski pójdzie w ogień i wodę".

Teraz w r. 1931 i „Kurjerek Dąbrowski" pisze całkiem wprost przeciwnie i dr. Lutman, historyk z „Przełomu" także. A jak? tego nie będziemy cytowali, bo jest bezecnie kłamliwe i bezwstydnie nieprawdziwe. Tamto pisał dr. Lutman młody, ognisty, zapalny, świeżo po powstaniu, kiedy nie było jeszcze w kraju depresji finansowej, a teraz w „Przełomie" pisze dr. Lutman o dziesięć lat starszy, w erze „ciasnoty gotówkowej".

Casus: Lutman i *casus*: Maliniak stwierdzają niezbicie, że grupa „Przełomu" to nie są rycerze świętego Graala, czekający jeno na powrót Parsifala.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jak donoszą dzienniki, po zimowym wypoczynku na Maderze, minister Piłsudski udał się z kolei na dłuższy, letni wypoczynek do Druskienik. Starożytność klasyczna wynalazła niegdyś dyktaturę jako instytucję — tymczasową, my, jak się zdaje, wytworzyliśmy szczęśliwie nową zupełni odmianę dyktatury — wywczasową...

*

Władze skarbowe, jak wiadomo, mają coraz to większe kłopoty z przechowywaniem nadmiaru mebli i innych przedmiotów, sekwestrowanych z powodu niezapłaconych podatków. Podobno... w związku z tym stanem rzeczy w ministerstwie skarbu opracowywany jest projekt nowego... podatku, tym razem na wybudowanie olbrzymich hal, celem przechowywania zajętych przez komorników ruchomości...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.